

DROGA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO

TREŚĆ NUMERU:

Adam Skwarczyński: W SPRAWIE PROGRAMU.

Wacław Januszewski: W SPRAWIE ADMINISTRACJI PAŃSTWOWEJ.

F. Bierkiiewicz: DODATNIE I UJEMNE MOMENTY W PROJEKTACH FINANSOWYCH MINISTERSTWA SKARBU.

M. H.: O KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM HISTORYKÓW.

Marjan Uzdowski: PRZYSZŁOŚĆ POLSKI — A JEJ POLITYKA WSCHODNIA.

Stanisław Vincenz: KILKA SŁÓW O INSTYTUCIE BADAŃ KULTURY W WIEDNIU.

K. L.—Krzewski: PROF. CHRZANOWSKI I JEGO KSIĄŻKA.

Leśław J. Słoboda: LIST Z WILNA.

PRZEGLĄD

(*T. Hołówko*) Przegląd polityczny.

(*h.*) Przegląd polityki zagranicznej.

Przegląd pracy społecznej:

S. Boguszewski: Organizacje społeczne na wsi, rząd i samorząd wiejski.

Ad. Skw.: Z ruchu religijnego.

(*L. S.*) *Kronika muzyczna:* Zrzeszenie muzyków.

(*K. R.*) Wychowanie fizyczne.

Książki:

Ad. Skwarczyński: Powieść Conrada.

K. L.—Krę.: General Barcz.

Książki i pisma nadesłane.

Sprostowanie.

XIV-1
164

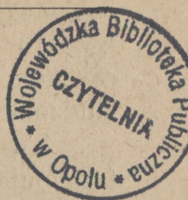
Kolekcja
Emilia Kornasia

ROK I. (II.) № 1. (7).

DROGA

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY SPRAWIE
ŻYCIA POLSKIEGO

WARSZAWA, KWIECIEŃ 1923



ADAM SKWARCZYŃSKI
W SPRAWIE PROGRAMU

— Dajcie mi hasło, obejmujące całość życia społecznego, narodowego. Inaczej nie mogę pracować.

— Brak nam idei, któraby zapalała jednostki i masy, takiej, jaką przed wojną w Polsce była Niepodległość, a przed rewolucją rosyjską w Europie socjalizm.

— Powszechna szarzyzna i pasożytnictwo moralne i materialne, — oto treść dzisiejszego życia publicznego, obejmująca również wszelkie dziedziny pracy gospodarczej, kulturalnej, artystycznej.

Takie oto — i tym podobne zdania słyszy się na każdym kroku w środowiskach ideowych i kulturalnych.

I rzeczywiście czasem wydaje się, że świat cały, a z nim Polska znalazła się w jakiejś pustce ideowej. Wbrew dotychczasowym przykładom historycznym, które po wielkich wysiłkach wojennych ukazują nam najczęściej epoki wzmożonej pracy twórczej, — wbrew nadziejom, które po wojnie światowej obiecywały okres rozwoju ducha i odrodzenia człowieka, przez tych lat kilka, które nas dzielą od wojny czujemy coraz gęstszą mgłę szarzyzny w dziedzinie duchowej, coraz cięższy napór bezmyślności, pasożytnictwa i chamstwa w życiu. Zdaje się nieraz, jakoby ludzkość zbyt wysiliła się tym razem na wojnę, a entuzjazm jej wypalił się w żarze hasła wojennych, — i zabrakło sił do wznoszenia, a nawet planowania nowej budowy na fundamencie niedawnych wstrząsających przeżyć i doświadczeń.

Polska tym dotkliwiej odczuwa tę pustkę. W odmętach wojny przybrał kształty konkretne najszlachetniejszy z ideałów porozbiorowych. Powstało państwo polskie, — a ci którzy do niego tęsknili, o nie wal-

czyli, ulegają czasami dość naiwnemu rozczarowaniu, że ten ich zrealizowany ideał nie jest czemś w rodzaju „królestwa bożego na ziemi“. Zapominają często, a raczej nie mają odwagi przypomnieć sobie, że o państwo owo walczyli jako o *warunek* niezbędny dla rozwoju narodu, o *instrument* do dalszej pracy.

Jeśli jednak pominąć przemijające „zmęczenie powojenne“ i również przemijające rozwyrżenie instynktów spekulacyjnych i nacjonalistycznych, którymi opanowani są w Polsce ci, co dobrowolnie żadnego wysiłku w czasie wojny nie podejmowali,— to całą ową dzisiejszą szarżę i niemoc twórczą w dziedzinie ideowej uznać trzeba za wielkie złudzenie.

To tylko stare hasła albo zrealizowały się i przestały mieć moc fascynującą ideału, — albo w zestawieniu z potężną rzeczywistością nie wytrzymały próby.

Dlaczego nie zjawiają się nowe?

Rzecz oczywista dlatego, że świat na nie jeszcze nie zasłużył. Hasła, idee, programy jeśli przychodzą z natchnienia, to w każdym razie natchnienie z nieba nie spada bez zasługi; rozkwita ono na podłożu przeoranej pracy. Konkretna praca zgłębić musi dziś, po wojnie i po rewolucji, otwarte rany problemów społecznych, politycznych, kulturalnych, moralnych, a może nawet i religijnych, — doświadczyć musi prężności sił nowych i starych w nowym ułożeniu — i zdać z nich sprawę duchowi. Wtedy dopiero powstanie możliwość syntezy, zbudowane będą programy, rzucone idee i hasła. Wtedy zajaśnieją i światła natchnienia.

Nie jest to czcze przewidywanie ani małoduszna pociecha. Już dziś odbywa się ta praca — i dostrzec można jej pierwsze w dziedzinie ideowej wyniki.

Na Zachodzie, od którego niestety duchowo wciąż jesteśmy odcięci, z ruiny i zamętu wyrastają nowe idee na gruncie nowych metod pracy i próbują oświetlić przyszłe drogi rozwoju. A i u nas każdy kto chce widzieć, zobaczy, jak około konkretnych warsztatów pracy skupiają się ludzie i przez codzienny żmudny wysiłek swój budują idee, którymi starają się objąć w syntezie duże obszary, a nawet całość życia, — wypracowują nowe wartości dla dalszej budowy, kształtują nowe elementy moralności, na której oparty być musi każdy program i wszelka ideologia. Któż nie zna owych entuzjastów pracy oświatowej i kulturalnej, spółdzielczości, wychowania fizycznego i t. d., któż sam do nich się nie zalicza? Być może słusznem okaże się zdanie, że dziś w Polsce podstawy rzetelnej polityki rodzą się w samorządach, twórczość gospodarcza i metoda rozwiązywania kwestyj socjalnych w spółdzielniach, zawiazki odrodzenia kultury w pracy kursów dla dorosłych, domów ludowych

i t. d., obronność państwa i czynny patriotyzm w stowarzyszeniach wojskowo wychowawczych, nowy teatr w amatorskich teatrach ludowych.

U wszelkich takich rozpalających się ognisk pracy zapalić trzeba pochodnie, które rozświetlić mają szerokie obszary życia, nie objęte dotąd rzetelną pracą, a wyjąłowane latami niewoli, zachwaszczone czężą gadaniną i demagogją.

Jedną z pochodni takich chce być pismo nasze; chcemy niem rzucać choćby najskromniejsze snopy promieni na przyszłe drogi życia polskiego.

Rozbudowujące się państwo zaczyna dopiero—i to nie we wszystkich dziedzinach—krystalizować swą politykę. Kwestje skarbu, wojska, polityki przemysłowej, reformy rolnej, administracji, opieki społecznej, szkolnictwa—zaczynają dopiero, niektóre od bardzo niedawna, nabierać kształtów konkretnych; cały splot zagadnień polityki zagranicznej nie przestał być odmetem czężej polemiki partyjnej i żerowiskiem pustej frazeologii, a od zakończenia wojny naszej z Rosją i małodusznego złożenia do archiwum idei federacyjnej w stosunku do narodowości rozsiadłych na międzymorzu bałtycko czarnomorskiem praktyczna nasza polityka zagraniczna posuwa się bez idei przewodniej—od faktu do faktu tylko.

Oszołomione wypadkami i zmianą warunków życia społeczeństwo żyje z dnia na dzień. W dziedzinie religijnej ślepe, nienawistne porywy, podsycane dla celów z religją nic nie mających wspólnego, nie dopuszczają do wyrazu szczerych uczuć i przeżyć. Zagadnienia socjalne zamącone są kryzysem, który w tej dziedzinie przechodzi cały świat pod wpływem załamania się socjalizmu a zwyrodnienia komunizmu. Literatura i sztuka, które „inter arma“ ucichły, nie odnajdują jeszcze wyrazu, nie nawiązują łączności ani z tętnem życia, ani ze spuścizną przeszłości.

Trzeba, by ludzie związani czynnie z warsztatami pracy twórczej, społeczno wychowawczej, oraz działający w imię tworzenia nowej Polski na różnych terenach życia publicznego skupili się około organu, w którym zdawaliby sprawę ze swoich doświadczeń i myśli, a czerpali zeń wiadomości o doświadczeniach i myślach innych. Trzeba — dla wytyczania linii programowych budowy Polski odrodzonej — organu, wobec którego nie byłoby podziału na „autorów” i „czytelników”, lecz który tworzyłby dla tej sprawy jakby warsztat spółdzielczy. Stać się takim organem to nasza ambicja—i w myśl jej zwracamy się z apelem o współpracę do wzrastającego grona naszych przyjaciół, grona złożonego z ludzi wiedzy fachowej, pracy społecznej, a przede wszystkim idei naczelnej tworzenia przyszłości Polski i człowieka.

W miarę możności rozszerzania szczupłych ram naszych będziemy

się starali nie pomijać żadnej dziedziny życia. I w Sejmie i w organizacjach społecznych, kulturalnych czy ekonomicznych — w pracy rządowej i w twórczości artystycznej — w wojsku i na boisku sportowem jest teren kształtowania się narodu i człowieka. I teraźniejszość i przeszłość — i kraj i zagranica wytwarza wartości, o których warto wiedzieć, gdy się chce możliwie pełnym krokiem iść naprzód.

Czujnie i bacznie utrzymujemy kontakt z tymi wszystkimi dziedzinami życia i warsztatami pracy. Służymy im w miarę sił i uczymy się z nich w miarę zdolności. A wzrok wyteżajmy wciąż w przyszłość, byśmy byli godni spostrzec każdą jutrzeńkę nowego programu i nowej idei.

WACŁAW JANUSZEWSKI

W SPRAWIE ADMINISTRACJI PAŃSTWOWEJ

Gdyby weszły w życie zamiary wyrażone w uchwałach Komisji, powołanej w celu reformy administracji państwowej, bez wątpienia byłby uczyniony krok naprzód ku rzeczywistej naprawie. Stanowiłby on o jej udoskonaleniu — że się tak wyrażę — *technicznym*; ta jakby sieć przewodów, po której krąży życie administracyjne, zostałaby rozwikłaną i znacznie uproszczoną. Byłby to jednak krok tylko naprzód, zbliżający nas do ideału bardzo jeszcze, a bardzo odległego. Aby ku temu ideałowi uczynić skok o znaczeniu zasadniczym trzeba — według mego zdania — przystąpić jaknajprędzej do *szkolenia administracji*.

Po dzień dzisiejszy odpowiednie władze zupełnie o tem nie myślały.

Na odpowiedzialne i nieraz esponowane stanowiska, tak w centrali jak i w całym państwie, weszli ludzie po większej części obdarzeni zasobem dobrej woli, obdarzeni nieraz zdolnościami administracyjnymi, a nawet umiłowaniami swego zawodu. Pochodzą oni jednak z rozmaitych środowisk społecznych i politycznych, z rozmaitych szkół, i z rozmaitych zawodów. Część z nich była obarczona nałogami starej szkoły administracyjnej, przesiąknięta przedwojennymi metodami i obcymi nam zapatrywaniami.

W pierwszym okresie pracy naszej administracji, kiedy województwa jeszcze nie funkcjonowały, ludzie ci rzuceni zostali samopas. U góry żądano od nich wtedy przede wszystkim i prawie jedynie utrzymania porządku społecznego, a jako wskazówki dano im najogól-

sze jeno wytyczne głównych zasad postępowania, sformułowane na piśmie w odpowiednich okólnikach. Ludzie ci, z dumą należy to podkreślić, w większości wypadków wywiązali się dobrze z postawionego im zadania, mimo że życie — to ciężkie powojenne życie — wymagało od nich stokroć więcej, aniżeli pisany okólnik mógł to z góry przewidzieć.

Do pomocy, w celach instrukcyjnych przede wszystkim — a następnie dla spraw kontroli stworzony został przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych inspektorat administracji, który, jak mógł, dążył do ujednostajnienia prac, do zaprowadzenia jakiegoś jednolitego systemu administracyjnego, — służył młodszym kolegom doświadczeniem i był dla nich łącznikiem ze stolicą. I przyznać należy, że w tych trudnych chwilach inspektorat uczynił bardzo dużo w kierunku zaprowadzenia ładu. Niestety przesady starej doktryny administracyjnej spowodowały jego rozwiązanie.

W następnej fazie rozwoju naszej administracji ukazały się województwa. Weszli na stanowiska wojewodów ludzie, posiadający te same wady i zalety co ich poprzednicy — młodszy i niższy stanowiskiem koledzy — i życie samo musiało ich wyrabiać... no i okólniki!

Genjuszowi naszej rasy przypisać to należy, że w większości wypadków i wojewodowie również okazali się odpowiednimi — że i oni zadaniu zdołali odpowiedzieć.

Ale jaki w rezultacie jest obecny stan rzeczy? Oto mamy cały *szereg ludzi* z wielką już praktyką i zasobem doświadczenia, ale nie mamy *administracji*. Każdy bowiem starosta czy wojewoda urabiał się sam, a właściwie urabiały go w każdym miejscu odmienne warunki — stosownie do miejscowych potrzeb i miejscowych cech charakterystycznych. Rząd nie urabiał ich wcale, nie pomyślał o ukształtowaniu ich pracy według przyjętego z góry systemu czy też doktryny administracyjnej, — a co najważniejsze, nie przeniknął ich nowoczesnym i jednocześnie swoistym polskim duchem, wynikającym z naszej konstytucji i myśli przewodniej naszych ustaw. Jest to może najważniejsza przyczyna, powodująca owe ciągle skargi i powszechne narzekania na administrację naszą.

Cóżby więc czynić teraz wypadało?

Należy otworzyć oczy na to, że dotychczasowy rozwój siedział w rezultacie ścieżkami czysto przypadkowemi; nie wystarczy zadowolić się czysto fachowem i technicznem traktowaniem całokształtu machiny administracyjnej, — trzeba rozpocząć systematyczne szkolenie. Trzeba utworzyć kurs informacyjny, przepracować wspólnie na tym kursie cały materiał nagromadzony doświadczeniem, cały zasób wiedzy, jaki wynieśli ze swojej praktyki starostowie i starsi referenci, a nadto dać

całemu temu materiałowi jednolite oświetlenie i fundamenty teoretyczne. Zaznajomić trzeba uczestników kursu takiego z nowoczesnymi prądami, panującymi w dziedzinie administracji, natchnąć ich duchem naszych tradycji — i stworzyć w rezultacie jednolity, — a nie rozbity na grupki, czy nawet jednostki — korpus administracyjny. Podobne kursy należałoby stworzyć również i dla wojewodów.

Dziwnie mało wagi przykładu M. S. Wewn. do tych spraw, najwidoczniej traktując sprawę administracji formalistycznie. W całej tej pracy nad zreformowaniem, urobieniem administracji naszej trzeba więcej czynów, trzeba połotu więcej i zapału. Rutyna jest konieczną, ale rutyna bez ducha — to trup!

To co powiedziałem wyżej o administracji wojewódzkiej i powiatowej można i należy rozszerzyć na samo Ministerstwo Spr. Wewn. i na inne resorty administracji państwowej, która przecież jest w momencie końcowym swej fazy organizacyjnej. Może ona — i powinna już wyłaniać formy jednolite organicznie i jednolite duchem, — a tego bez ostatecznego wykształcenia dokonać nie będzie mogła.

F. BIERKIEWICZ

DODATNIE I UJEMNE MOMENTY W PROJEKTACH FINANSOWYCH MINISTERSTWA SKARBU

Byłem zasadniczym przeciwnikiem wprowadzenia do życia gospodarczego i budżetu państwowego t. zw. złotego rachunkowego, w łączności z koncepcją ewolucyjnego usuwania deficytu budżetu państwowego, koncepcją przewidującą osiągnięcie równowagi budżetowej i przerwanie emisji dopiero w 1926 r. Stałem na stanowisku konieczności jaknajszybszego przerwania emisji. Uważałem, iż nasze gospodarstwo narodowe podniosło się o tyle, że może śmiało wytrzymać opodatkowanie w wysokości przedwojennej, a nawet wyższej (cena złota w porównaniu do przedwojennej spadła o 50% — 60%). Wypowiadając się zasadniczo za potrzebą zabezpieczenia realnej wartości dochodów państwowych, byłem zwolennikiem stosowania różnych form tego zabezpieczenia w zależności od rodzaju podatku lub opłaty (indeks cen hurtowych, ceny artykułów opodatkowanych w podatkach pośrednich, indeks cen artykułów zbożowych w podatku gruntowym, kurs franka szwajcarskiego i t. d.). Nie występowałem natomiast przeciwko wprowadzeniu bonów złotych.

Rzeczywistość jak gdyby wykazała bezpodstawność zarzutów i obaw przeciwników koncepcji złotego rachunkowego, a w każdym razie zmusiła do częściowej lub całkowitej rewizji poglądów. Opozycja zamilkła. Kurs marki polskiej w stosunku do walut pełnowartościowych utrzymuje się od dłuższego czasu prawie na jednym i tym samym poziomie i dopiero w ostatnich kilku dniach spadł nieco, pod wpływem silnego spadku marki niemieckiej. Niema narazie również poważniejszego kryzysu w przemyśle i bezrobocia. Powstrzymane zostało również tempo wzrostu cen. W związku z tymi objawami Ministerstwo Skarbu coraz to śmieiej i z coraz to większą energją przystępuje do urzeczywistnienia swych koncepcyj. Na porządku dziennym postawioną została sprawa wprowadzenia złotego rachunkowego do umów prywatnych.

Czy jednak wskazane wyżej objawy mają charakter trwały i czy źródeł ich szukać należy wyłącznie w zarządzeniach Ministerstwa Skarbu?

Zwrócić pragnę uwagę na fakt, iż spadek wartości pieniądza papierowego przy emisji niema bynajmniej charakteru ciągłego. Odwrotnie! Wszędzie dają się spostrzec okresy dłuższej lub krótszej stabilizacji, przyczem następują one przeważnie po okresach gwałtowniejszego spadku kursu. Można również zauważyć, iż tendencje stabilizacyjne przejawiają się silniej w pewnych określonych porach roku, różnych w zależności od krajów. Np. jeżeli weźmiemy przebieg wahań kursowych marki polskiej poczynawszy od końca 1918 r., zauważymy wówczas, że najsilniejszym naogół tempem spadku wartości odznaczył się we wszystkich latach, kończąc na 1922 r., trzeci kwartał każdego roku, najsłabsze tempo dało się zaobserwować w drugim kwartale każdego roku. Pewnym wyjątkiem był tylko 1921 r. W roku tym w ciągu drugiego kwartału nastąpił dość silny spadek wartości marki polskiej, który wzmocnił się jeszcze bardziej w trzecim kwartale, ale natomiast załamał się szczególnie gwałtownie w końcu października, powodując silny kryzys w przemyśle, (objęcie teki Ministra Skarbu przez p. Michalskiego).

Odmienny przebieg wahań kursowych marki polskiej w drugim kwartale 1921 r., spowodowany został bardzo poważnymi zakupami mąki amerykańskiej, wskutek mylnego obliczenia zapotrzebowania przez Ministerstwo Apropowizacji. W związku z tymi zakupami stworzyło się dodatkowe silne zapotrzebowanie na waluty obce na rynku krajowym, które zbiegło się jednocześnie z osłabieniem przyływu dolarów ze St. Zjednoczonych, spowodowanym znów kryzysem gospodarczym, jaki kraj ten przeżywał. W roku poprzedzającym, 1920, w drugim kwartale ujawnił się nawet wzrost wartości marki polskiej, mimo klęsk wojennych i ofensywy bolszewickiej na Warszawę i mimo wyjątkowo gwałtownego tempa emisji, spowodowanego wydatkami wojennymi. Trzeci

kwartał, kwartał pogromu wojsk sowieckich, odznaczał się tak jak i poprzednie oraz następne silnym spadkiem marki polskiej.

Przyczyny takiego przebiegu kursu marki polskiej są zrozumiałe.

Drugi kwartał w Polsce jest okresem względnego zacisza handlowego i zmniejszonych zakupów zagranicznych, a tem samem i zmniejszonego zapotrzebowania na dewizy i waluty obce. Drugi kwartał jest również okresem wzmożonej realizacji wszelkiego rodzaju walorów, a więc i dewiz oraz walut obcych, w związku z zapotrzebowaniem gotówki bieżącej na wyjazdy odpoczynkowe (letniska, zagranica). Trzeci kwartał charakteryzuje się natomiast znaczną przewagą zakupów zagranicznych. W tym kwartale przemysł włókienniczy pokrywa gros swego zapotrzebowania na surowce.

Weźmy drugi, jeszcze bardziej charakterystyczny przykład: Rosję sowiecką. Widzimy tam również okresy względnej stabilizacji rubla, naprzemian z okresami silnego spadku jego wartości. Miało tam miejsce zahamowanie tempa spadku wartości rubla nawet w ciągu 2-ch miesięcy 1920 r., kiedy naczelnem założeniem polityki finansowej rządu sowieckiego była świadoma deprecjacja rubla. W roku 1921 okres stabilizacyjny trwał już trzy miesiące letnie. W 1922 r. rubel utrzymywał się na jednym i tym samym poziomie w ciągu czterech miesięcy wiosenno-letnich (począwszy od maja), później nastąpił poważny spadek jego wartości, powstrzymany dopiero w połowie grudnia. Ten drugi okres względnej stabilizacji trwał znów 3 i pół miesiąca i przerwany został ponownym silnym spadkiem w końcu marca i początkach kwietnia 1923 r.

Obiektywnie rzecz biorąc niema zatem powodów do traktowania obecnej stabilizacji marki polskiej jako objawu trwałego, a również niema powodów do przypisywania wyłącznej zasługi tej stabilizacji zarządzeniom i reformom Ministerstwa Skarbu, aczkolwiek pewną rolę zarządzenia te w procesie stabilizacyjnym niewątpliwie odegrały (o czem zresztą niżej). Natomiast w znacznym stopniu zarządzeniom Ministerstwa Skarbu przypisać można drugi objaw charakteryzujący obecne położenie: osiągnięcie, a w wielu wypadkach i przekroczenie poziomu światowego przez ceny wewnętrzne krajowe. Jest to objaw tem bardziej zastanawiający, że dokonał się tylko w zakresie cen, nie odbijając się prawie zupełnie na płacach zarobkowych. Propaganda miernika złotego, poparta odpowiednimi zarządzeniami, przyczyniła się tu w niemałym stopniu do gwałtownego skrócenia okresu normalnego wyrównywania się cen wewnętrznych z zewnętrznymi: sankcjonowała poniekąd orientację cen na ruch kursów dolara i franka szwajcarskiego, jako na jedynie uchwytnie wskaźniki.

Zastanówmy się jednak przedewszystkiem nad rolą, jaką już ode-

grały i jeszcze mogą odegrać w stabilizacyjnych procesach zarządzania Ministerstwa Skarbu. Z zarządzeń tych na plan pierwszy wybijają się przede wszystkim: ograniczenie liczby banków dewizowych i obostrzenie przepisów co do zakupu walut i dewiz obcych, wprowadzenie do obiegów krótkoterminowych sześcioprocentowych bonów skarbowych złotych, wreszcie dopuszczenie t. zw. wkładów złotych w operacjach Pocztovej Kasy Oszczędności i paru innych banków.

Polska posiada dodatni bilans handlowy, a więc gdyby nie motywy natury spekulacyjnej i ucieczka przed marką, dopływ dewiz i walut obcych mógłby bez trudności pokryć zapotrzebowanie przemysłu i handlu. Usunięcie spekulacyjnego, dodatkowego zapotrzebowania na waluty obce, musi być w tych warunkach naturalnym dążeniem każdego rządu. Wobec dodatniego bilansu handlowego ograniczenia w nabywaniu dewiz i walut obcych nie mogą odbić się ujemnie na życiu gospodarczym. Słusznie zatem postąpiło Ministerstwo Skarbu obostrzając przepisy co do nabywania walut obcych i oddziaływując bezpośrednio na kursy giełdowe tych walut. Krokiem uzupełniającym oddziaływanie tych negatywnych zarządzeń na wartość kursową marki polskiej było wprowadzenie krótkoterminowych bonów złotych. Usuwając w pewnym stopniu dewizy i waluty obce jako obiekt dla lokat oszczędnościowych, Ministerstwo Skarbu stworzyło bardzo korzystny walor dla tych lokat, umożliwiając jednocześnie częściowy dopływ do kas państwowych wywoływanego nieprzerwaną emisją nadmiaru środków obiegowych. Dodatni wpływ wprowadzenia krótkoterminowych bonów złotych został ze swej strony wzmocniony i uzupełniony częściowym wprowadzeniem złotego rachunkowego do operacji kredytowych (P.K.O.). W ten sposób zostało ponownie umożliwione oszczędzanie w markach polskich, które zmniejszając szybkość obiegu pieniężnego przyczyni się również do osłabienia nacisku emisji na ceny wewnętrzne i zwiększy popyt na bonny skarbowe, będące dla instytucyj kredytowych swego rodzaju asekuracją wobec właścicieli wkładów złotych. Stabilizacyjny wpływ zarządzeń Ministerstwa Skarbu jeśli jeszcze nie jest, to w każdym razie może być w bezpośredniej przyszłości bardzo poważny.

A jednak?...

Widząc wszystkie wysoce dodatnie cechy wzmiankowanych zarządzeń Ministerstwa Skarbu zajmować musimy jednak, z przykrością, w dalszym ciągu negatywne stanowisko wobec koncepcji złotego rachunkowego w połączeniu jej z koncepcją ewolucyjnego usuwania deficytu państwowego.

Przypuśćmy bowiem, że starania Ministerstwa Skarbu zostają uwieńczone powodzeniem i złoty rachunkowy przyjmuje się całkowicie w ży-

ciu gospodarczym, a więc w wyznaczaniu cen i płac, w operacjach kredytowych, w podatkach, opłatach i t. d.. Przypuśćmy zresztą jeszcze mniej, że przyjmuje się on tylko w operacjach kredytowych, oraz dochodach państwowych (co nie jest prawdopodobne). *Teoretycznie rzecz biorąc* ucieczka od marki polskiej stanie się wówczas bezprzedmiotową. Waluty i dewizy obce przestają być środkiem dla lokat oszczędnościowych i służą wyłącznie do wypłat zagranicznych. Wzmaga się napływ środków obrotowych do banków i kas oszczędnościowych. Jeżeli jednak emisja będzie w dalszym ciągu trwała, to ujemny wpływ jej na wartość wewnętrzną marki polskiej przewyżczy szybko dodatni wpływ oszczędności. Te ostatnie nie tworzą się bowiem poto by leżały nieproduktywnie. Gdy wkłady w bankach i kasach oszczędnościowych przekraczają pewien poziom, a dopływ środków obrotowych pod wpływem emisji trwa w dalszym ciągu, nieuniknionym jego skutkiem jest wzrost cen. Będzie to jednak w tym wypadku już wzrost cen realnych, który wywoła kryzys gospodarczy i bezrobocie. Kryzys ten będzie się pogłębiać tymbardziej im dłużej będzie trwała emisja, chyba że w międzyczasie pod wpływem przemiany dodatniego bilansu handlowego na ujemny wystąpi brak dewiz i walut obcych i ponowny spadek kursu marki.

W rzeczywistości wpływ wprowadzenia złotego rachunkowego do operacyj kredytowych i życia gospodarczego, przy trwającej emisji nie wyrazi się całkowicie w wyżej opisanej formie. Użytkowanie dewiz i walut obcych dla lokat oszczędnościowych i spekulacji ograniczy się niewątpliwie dość silnie i wzrost kursu walut obcych będzie miał tendencję do znacznego pozostawania w tyle poza wzrostem cen, dopóki nie wystąpi wybitna przemiana w dotychczasowym dodatnim bilansie państwowym. Ale i rozwój t. z. wkładów złotych w markach polskich będzie miał również zakres dość ograniczony, a tem samem i paraliżujący wpływ tych wkładów na wzrost cen będzie daleko słabszy i bardziej ułamkowy. Wątpliwe jest bardzo np. czy oszczędzanie w markach w postaci wkładów złotych oraz w bonach złotych rozwinie się wśród włościanstwa i wśród pracowników fizycznych i umysłowych, żyjących z pensyj miesięcznych. Na dopływ nowych środków obrotowych pod wpływem emisji przy niezmienniającym się poziomie produkcji warstwy te, a przede wszystkim włościanstwo, reagować będą odpowiednim wzrostem popytu, który pociągać będzie musiał za sobą i odpowiedni wzrost cen. Wzrost cen wyrazi się w poszczególnych działach życia gospodarczego w sposób dość różnolity. W działach pracujących w większym lub mniejszym stopniu na eksport wzrost ten będzie hamowany niemożnością zbytu, w działach pracujących wyłącznie lub w znacznej części na potrzeby krajowe wpływ konkurencji

zagranicznej będzie niewspółmiernie słabszy. U nas wytwory rolnictwa i hodowli konsumowane są prawie wyłącznie na rynku wewnętrznym, a co najważniejsza konkurencja zagraniczna nie może oddziaływać tu w stopniu silniejszym, natomiast wytwory przemysłu są w znacznym stopniu eksportowane zagranicę, konkurencja której na rynku krajowym jest daleko łatwiejszą. Należy się zatem obawiać, że konsekwencją dalszego uprawiania emisji — przy dotychczasowej polityce skarbowej Ministerstwa — będzie wzrost cen realnych produktów rolnych i hodowlanych przy daleko słabszym wzroście cen produktów przemysłowych. Objawy te zaczynamy już dziś obserwować, narazie w skali bardzo drobnej.

Konsekwencje takiego ustosunkowania się cen produktów rolnych i przemysłowych są łatwe do przewidzenia: Wzrost kosztów produkcji, mianowicie robocizny opłacanej odpowiednio do wzrostu cen produktów spożywczych, surowców krajowych, kredytu złotowego (opartego na indeksie cen artykułów spożywczych, o wysokości którego decydują znów ceny artykułów spożywczych) i t. d., — a co zatem idzie i kryzys zbytu, nabierający w miarę trwania emisji charakteru coraz to bardziej organicznego, oraz bezrobocie. Co jednak leży w istocie koncepcji złotego rachunkowego, to fakt, że nawet jedyne dodatnie skutki emisji w postaci wzmocnienia zdolności eksportowej przemysłu, mogą być w znacznym stopniu zneutralizowane dzięki sankcjonowanemu pośrednio podnoszeniu cen w miarę wzrostu drożyzny, wskaźnikiem której, w wypadku wzrostu kursu walut obcych, będzie zawsze gieldowy kurs tych walut.

Oto w krótkim zarysie motywy, które przemawiają za koncepcjami Ministerstwa skarbu w tym wypadku, jeśli będą one traktowane jako przemijający środek w pewnym krótkim okresie, niezbędnym dla przygotowania i przeprowadzenia sanacji budżetu państwowego, oraz przewartościowania emisji, — przemawiają zaś przeciwko tym koncepcjom, jeżeli będą one połączone z planem sanacji budżetowej obliczonym na parę lat i przewidującym stosunkowo długie jeszcze uprawianie emisji.

Gospodarstwo narodowe w Polsce osiągnęło już poziom przedwojenny. Ceny wewnętrzne zbliżyły się, a w wielu wypadkach przekroczyły poziom cen światowych. Niema zatem powodu, by i dochody państwowe pozostawały na poziomie znacznie niższym od przedwojennego. Stawianie w polityce skarbowej jako celu, który mógłby być osiągnięty dopiero po upływie paru lat, opodatkowania przedwojennego w złocie, wówczas, gdy złoto to spadło conajmniej o 50% w stosunku do ceny przedwojennej, jest nadmierną ostrożnością. Nadmierna zaś ostrożność i powściągliwość nie zawsze wydaje dodatnie skutki.

Znaczne skrócanie okresu, w ciągu którego przewidywane jest

trwanie emisji, przez zastosowanie odpowiednich operacyj kredytowych, względne podniesienie podatków i opłat—wydaje się koniecznością.

P. Minister Grabski wziął na siebie wielki ciężar i odpowiedzialność. Utrudnianie jego ciężkiej i ofiarnej pracy nie leży w moich zamiarach. Uwagi te pisałem z myślą, że każda rzeczowa krytyka u człowieka myślącego osiąga przynajmniej ten cel, że dopomaga mu do pogłębienia własnej koncepcji i usuwania przez odpowiednie zarządzenia jej stron ujemnych.

M. H.

O KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM HISTORYKÓW

Od 8 do 15 kwietnia r. b. piękny pałac Akademii w Brukseli był siedzibą piątego kongresu historyków, zjazdu międzynarodowego o charakterze ściśle naukowym. Zjechało się ok. 900 osób z najprzeróżniejszych stron świata, zgłoszono ok. 300 referatów. Obecni podzielili się na 13 sekcji, odbywali zebrania plenarne, w ciągu dni 5 uczęszczali z posiedzenia na posiedzenie, słuchali komunikatów, dyskutowali, może nawet głosowali.

W ciągu 8 dni wielki międzynarodowy tłum, mówiący jakimś *vo-lapüćkem* z przewagą słów francuskich i angielskich, napozór nie interesował się niczem, jak tylko nauką czystą. Oderwany od trosk dnia codziennego dzielił się nawzajem dobytkiem lat 10, znaczonej ciężkim wspomnieniem wojny, odnawiał łączność duchową ludzkości w jednej przynajmniej dziedzinie i tworzył napozór zbiorowo jakieś wyższe idealne wartości.

Czy tak było istotnie, czy nauka czysta była jedyną troską zebranych, czy myśl wspólna odbiegała od życia publicznego i kapała się w wspólnych źródłach obiektywnej nauki? Kto by tak tylko zjazd ten pojmował, myliłby się istotnie. Zresztą, było to z góry oczywiste.

Jeżeli żadna dziedzina życia zbiorowego nie jest wolna od wpływu zjawisk politycznych, tem mniej za wolną od tego uchodzić może historia, najbardziej naukowa nawet, która przecie daje narodowi swemu jego świadomość. Czyż może być zwłaszcza po wojnie wolnym od tego działania sejm ludzi, z których każdy w czasie wojny służył swoją wiedzą praktycznie swemu narodowi, w propagandzie, w dyplomacji, w kraju lub zagranicą, książką, słowem lub prasą. I czyż wogóle można pomyśleć dzisiaj o próbie odbudowy choćby zaczątków łączności mię-

dzynarodowej, gdzieby nie domagały się głosu wszystkie wspomnienia wojenne. Dotyczy to w całej pełni i naszego zjazdu.

Brukselę wybrano na miejsce Kongresu, ponieważ Anglicy uważali, iż to się „należy“ Belgji. Lecz Bruksela nie mogła zaprosić w charakterze gości tych, którzy w niej byli do niedawna okupantami. Anglicy i Amerykanie zrozumieli to i uznali w całej pełni, lecz nie mogli się pogodzić z myślą, że odbędzie się zjazd naukowy bez Niemców, którzy tyle dla tej nauki zrobili. A przecież Francuzi nie mogli dobrowolnie zasiąść przy jednym stole z tymi, którzy podpisali pamiętny manifest uczonych niemieckich, którzy do dzisiaj dają pełne uzasadnienie rządowi, pragnącemu nie dać żadnych odszkodowań Francji. A za Niemcami z Rzeszy stali ich współplemięcy z Austrii, z Szwajcarii, ich dalecy krewniacy z Hagi czy Stockholmu, ich cisi poplecznicy—Rosjanie. I oto „sprawa Niemiec“, sprawa neutralności zjazdu przyszłego stała się główną troską zebranych. Jak zrobić, żeby zjazd obecny był naprawdę międzynarodowy, jak obmyślić, by następny mógł zadowolnić wszystkich, by objął w miarę możliwości wszystkie narody. Przed kongresem, jak przed wszelką próbą nowoczesnego międzynarodowego regulowania zagadnień wysunęła się ta sprawa i jak wszędzie nie rozwiązując ją trzeba było załatwić kompromisowo: decyzję w tych sprawach odraczano.

I nie dziw. Jak na tylu innych scenach i na tej ścierały się wpływy wielkich i małych mocarstw, dochodziły do głosu nowe potęgi, a stare, jak dwu reprezentatywna Rosja, nie dawały się zepchnąć na stanowisko drugorzędne, ścierały się ambicje i pretensje narodowe, i domagały się rozwiązania kompromisowego. Waga nazwisk, wpływy osobistych stosunków, liczebność reprezentacyj, wartość referatów wszystko razem z trudem równoważyło istotną czy moralną siłę narodu, do którego reprezentacja należała. A przytem tworzyły się koalicje, zresztą zawsze w promieniu powyższej *question capitale*, i działała zawsze łagodząca polityka gospodarzy. Wystarczy porównać naszą rolę w r. 1913 i w r. 1923. Wtedy w Londynie, było 300 Niemców i głos niemiecki prawie dominował. Na pierwszym planie stał Rumun Jorga, zresztą uczony o świetnej inteligencji i znakomitych zasług, do prezydjum jeneralnego wchodził Czech Lutzow, a James Bryce zapowiadał erę pokoju. Nas nie dostrzegano wcale, byliśmy ledwo tolerowani; szczęśliwi osobistem powodzeniem. Dziś szliśmy zaraz po wielkich narodach Zachodu, w równym z nimi szeregu, przed Włochami nawet, zbieraliśmy obok siebie naszych przyjaciół z krajów sąsiednich, uznani powszechnie, a kwestjonowani tylko przez Rosjan i to oczywiście najpewniejszym, bo podziemnym sposobem naszeptuwań, które posłuch znajdowały nawet u niektórych młodszych Francuzów. Kiedy poprzednio Francuzów

było mało, dziś oni wypełniali wszystkie sale, i głosem swoim decydowali o wszystkim, przeważnie wśród siebie zamknięci i trzymający się naogół zdala od uczonych angielskich. Łącznikiem między temi światami na tej nawet skromnej arenie byli przede wszystkim Belgowie, a za nimi szliśmy my z kolei, pewni zawsze poparcia ogółu Francuzów i prawie zawsze szczerzej sympatji Anglików, mających swoje restrykcje neutralne. I jedno jeszcze. Niezaprzeczenie stosunki delegacji narodowych i ich pozycja na zjeździe określały z góry istotną rolę i wpływy w układzie powszechnym. A jednak, nie jedno zyskać mogły i zyskiwały dobra organizacja, liczna reprezentacja, jednolita akcja wystąpień delegacji. Czynniki, który w polityce zewnętrznej zazwyczaj zwie się akcją propagandy, i w tej dziedzinie święcił trumfy lub niepowodzenie. Bez tej działalności indywidualnej, stałej troski i nieustannego zajmowania się całokształtem stosunków, żadna sekcja nie byłaby w stanie odgrywać większej roli.

Mieliśmy więc w miniaturze to wszystko, co się dzieje w wielkiej skali na szerokim świecie, w Paryżu lub Genewie, ze wszystkimi imponderabiljami sytuacji i okoliczności dodatkowych. Mogliśmy się przekonać, po raz niewiadomo który, że niema tak oderwanej dziedziny, w której by nie grały roli te same pierwiastki, ani tak obiektywnych zagadnień, w którychby nie ważyły ogólne zasady mechanizmu życia międzynarodowego.

MARJAN UZDOWSKI

PRZYSZŁOŚĆ POLSKI — A JEJ POLITYKA WSCHODNIA

Wschodnie granice Polski uznane zostały przez mocarstwa ententy. Tego skądinąd wysoce doniosłego faktu, o ile chodzi o bezpieczeństwo kresów, przeceniać jednak nie należy. Uznanie wzmacnia nasze stanowisko mocarstwowe, podnosi autorytet Rzeczypospolitej w oczach państw środkowych i zachodnich, likwiduje niewyraźną sytuację wobec mniejszości narodowych na kresach — ale bynajmniej nie zmienia zasadniczego do nas stosunku Rosji.

To też za dodatni objaw poczytać należy, iż zdrowa część opinii i prasy polskiej nie wykazuje zbytniego optymizmu co do przyjęcia i uznania tego aktu w przyszłości przez Rosję. Społeczeństwo polskie winno wiedzieć, że w pojęciach naszego sąsiada ze wschodu, o ile chodzi o Polskę, omal nic się nie zmieniło — pomimo nawet świado-

mości, iż ententa jest z nami. Sąsiad ten bowiem, nie zważając na istnienie podpisanego przez siebie traktatu ryskiego, faktycznie nie uznał i szczerze nie uzna naszych granic wschodnich. Nigdy też nie przestanie zabiegać o przesunięcie ich aż ku Karpatom i Bugowi.

Ale prócz zdrowego poglądu na sprawy polsko rosyjskie wciąż jeszcze pokutują wśród nas stare nałogi polityczne, które już tyle krzywd w przeszłości wyrządziły Polsce. Wciąż jeszcze daje o sobie znać, mimo bolesne doświadczenia, stara tradycja szukania wspólnych (a nieistniejących) dróg z Rosją, trwałego porozumienia, mocnego sojuszu.

Od czasu do czasu wyznawcy jej i zwolennicy podnoszą energicznie głowę, rozglądając się w sytuacji. Puszczają wtedy próbne balony w rodzaju „Zagadnienia głównego“, powtarzania pojedynczych głosów prasy francuskiej („Petit Parisien“) i zamieszczania w codziennych pismach korespondencji z Paryża forsujących poglądy o konieczności zgody i przyjaźni z Rosją. Przytem wszystkie te wiadomości z Francji podawane są w takim zabarwieniu, jakoby to *cała* Francja nakłaniała nas właśnie do urzeczywistnienia zgody z Rosją.

Jeżeli w opinii społeczeństwa polskiego pocznie utrwać się przekonanie, że zakończył się okres naszej aktywnej polityki na wschodzie, — jeżeli w świadomość polską sączyć się będzie trucizna ufności w bezwzględną trwałość i bezpieczeństwo obecnego stanu rzeczy — to zjawisko takie skrzywdzi najbliższe po nas pokolenia, a może i nas jeszcze samych.

Nigdy bowiem nie wolno nam zapominać o dwóch rzeczach: po pierwsze, że Rosja w granicach posiadanych przez nią obecnie, z rządem bolszewickim czy innym, zawsze będzie mieczem Damoklesa, wiszącym nad naszą przyszłością — i to aż do chwili, w której urzeczywistnią się dążenia do niepodległości narodów przez nią ujarzmionych (Ukraina, Białoruś, Gruzja, Armenia, Kubań, i t. d.); — powtóre, że wszelkie próby porozumienia z Rosją nie tylko zawsze nas zawodziły, ale nawet były stale obracane przeciwko nam, jako wygodny oręż w walce o rozszerzenie państwa rosyjskiego (np. „opieka“ Piotra Wielkiego, konfederacja sandomierska).

Pamiętać również należy o systematycznej pracy niemieckiej w Rosji. Praca ta opiera się nie tylko na agitacji i uprzytomnianiu narodowi rosyjskiemu przyszłych korzyści z sojuszu rosyjsko - niemieckiego, ale także na realnych poczynaniach ekonomicznych, oraz wojskowych.

Polska w swej wschodniej polityce zagranicznej może albo ulec prądowi zmierzającemu do trwałego porozumienia z Rosją, lub też stanąć na wręcz przeciwnym stanowisku, t. j. popierać tendencje rozczłonkowania Rosji, a właściwie wyswobodzenia narodów, zamiesz-

kujących dawne imperjum carskie, obecnie terytorjum państwa sowieckiego.

Obranie pierwszej drogi zmusi nas do ścisłego porozumienia się z Rosją w sprawie zagadnienia ukraińskiego i białoruskiego. Polska w takim sojuszu musiałaby odgrywać rolę grabarza zamiarów niepodległościowych bratnich narodów, aby w następstwie, w razie najmniejszej zmiany w konjunkturze europejskiej, sama ulec pod naporem potęgi moskiewskiej.

Obranie drugiej drogi stawia nas na wręcz odmiennie stanowisko. Po pierwsze unikamy roli grabarzy cudzej wolności, tego najcenniejszego waloru narodowego, o który walczyliśmy około półtora wieku, po wtóre odejmujemy kulturze bizantyjsko - rosyjskiej ogromną połać ziemi z 40 miljonami ludności, — tem samem zadajemy kolosowi rosyjskiemu i jego tendencjom zaborczym skuteczny cios, wyzwajający nas w następstwie od stałego niebezpieczeństwa wschodniego; miast jednego potężnego sąsiada o 130 miljonach ludności, który, pomimo wysiłków i złudzeń Zachodu, stale będzie grawitował ku Niemcom, otrzymujemy paru sąsiadów o rozbieżnych tendencjach i ekspansjach politycznych z których jeden (Ukraina) tak czy owak będzie musiał wejść z nam w bliższy kontakt gospodarczo - polityczny. Słuszność tego ostatniego twierdzenia podkreślono wyraźnie ze strony ukraińskiej i dano mu uzasadnienie teoretyczne w książce p. Doncowa „Podstawy naszej polityki.”

Jeżeli chodzi więc o wybór jednej z wyżej omówionych dróg, to należy przede wszystkim zastanowić się nad możliwością pogodzenia się Rosji z przynależnością Wileńszczyzny, Polesia, Wołynia i Małopolski Wschodniej do Polski. Sprawa ta już była przez nas poruszana, więc powracać do niej nie będziemy. Zaznaczamy jedynie, że zarówno interesy wielkiej Rosji, jej tradycyjna polityka zagraniczna, jej dążności ku zjednoczeniu historycznych dzielnic ruskich, jak i psychologia narodu rosyjskiego, zawsze staną na przeszkodzie do uznania obecnego stanu posiadania Polski. Jeżeli chwilowo naród rosyjski pod presją Zachodu oraz dzięki swemu wyczerpaniu i przejściowej niemocy wszedłby nawet na drogę porozumienia się z Polską, to tylko w tym celu, aby wygrać na czasie i skuteczniej przygotować się do zapowiadanego już przez rosyjską emigrację „rozzrachunku”.

Prawda, można tutaj postawić zarzut, że znaczny odłam inteligencji ukraińskiej, oraz pewna część emigracji znajdująca się w Czechach — również występują przeciwko wschodnim granicom Polski, że dążą do oderwania od Polski Podlasia, Chełmszczyzny, Wołynia i Małopolski Wschodniej — ale zjawisko to tymbardziej nakazuje nam zbli-

żenie się z grupami naddnieprzańskimi, które nadal stoją na gruncie porozumienia z Polską i wytycznych umowy kwietniowej z r. 1920.

Czas też już najwyższy na porzucenie wahań i złudzeń. Rosja bowiem wygrywa na czasie. Pozyskawszy Petruszewycza i jego zwolenników, zarzuciwszy sieci na emigrację ukraińską w Czechach — może pozyskać sprzymierzeńca w całym narodzie ukraińskim, który oczywiście pchać ją będzie do skupienia ziem ukraińskich. Obóz naszej prawicy, propagując ugodę z Rosją, już dziś może widzieć całe niebezpieczeństwo zastosowania swego programu wschodniego. Pewne organa prasy francuskiej, popierające ten program, nie mogą być dla nas miarodajnym wskaźnikiem postępowania. Francja nigdy nie będzie lepiej orjentować się w sprawach rosyjskich od Polski — już dla tej prostej przyczyny, że z Rosją nie graniczy. Jeżeli rentjerzy francuscy, pracując nad zabezpieczeniem swoich wkładów rosyjskich, pchają Polskę na drogi porozumienia z Rosją — to można ich rozumieć. Ale kieszenie naszych przyjaciół nie mogą być jedynym czynnikiem naszej orientacji politycznej. Bolszewicka bowiem Rosja już dziś nawraca ku tradycyjnej zaborczej polityce rosyjskiej, uprawianej systematycznie przez rządy carskie. Czyż obóz prawicy nie widzi, że Rosja dziś czyni to, czego można było się spodziewać dopiero po likwidacji rządów bolszewickich? Mnożą się coraz bardziej, fakta świadczące o stałym kontakcie rządu rosyjskiego z „rządem“ Petruszewycza. Rosja więc już dziś, jak ongiś za Piotra Wielkiego, poczyną mieszać się do spraw wewnętrznych polskich. Piotr brał w opiekę dyzunitów — Lenin bierze Ukraińców z Małopolski Wschodniej. Emigracja rosyjska pomaga w tym dziele bolszewikom. Historia się powtarza.

Jest to zbyt znamienne dla nas ostrzeżenie, aby przeszło bez echa i nie wywołało poważniejszych dyskusyj w partjach oraz nie doprowadziło do zdecydowania się wreszcie na program konkretny i jasny.

Petruszewycz, jak już wspomnieliśmy, wykonał radykalny zwrot od *ententy* ku Rosji. Kierenski, a z nim znaczna część emigracji rosyjskiej, myśli o powrocie. Pragną oni uzyskać od bolszewików tylko tyle wolności, ile Kierenski w swoim czasie ofiarował Leninowi. Rosja jest krajem przeróżnych możliwości, więc możemy przypuszczać, iż sprawi ona Europie niespodziankę w postaci przejścia od bolszewizmu do starych form — nie tylko kapitalistycznych lecz i politycznych, i że stanie się to — bez rozlewu krwi, bez większych wstrząsów, boć o to chodzi przedewszystkiem Niemcom.

Pomijając jednak możliwości i przypuszczenia, mamy obecnie do czynienia z realnymi faktami, które wymagają od nas zdecydowania. Są to: sojusz niemiecko - rosyjski, sojusz litewsko - rosyjski i sojusz z Petruszewyczem. Musimy więc: albo zdecydować się na obranie drogi

zgodnej z tradycją dziejową Polski i z jej interesami, widzianymi na dalszą metę, albo na usiłowania, zmierzające do pogodzenia się z Rosją, na syzyfową pracę rozbijania rosyjsko - niemiecko-litewsko-petruszewiczowskiego sojuszu - z perspektywą nowych uciążliwych borykań się ze wschodem, współpracą nad pognębieniem niepodległościowych dążeń narodu ukraińskiego i białoruskiego, a w rezultacie—powolnem traceniem swego stanowiska mocarstwowego.

Jest rzeczą jasną, że obranie tej drugiej alternatywy jest dla naszej przyszłości wielkim niebezpieczeństwem. Ale decyzja w tej właśnie sprawie zależy w znacznej mierze od stanowiska Ukraińców i Białorusinów żyjących w granicach Rzeczypospolitej.

Ukraińcy muszą raz wreszcie zrozumieć, że punkt ciężkości ich sprawy leży nie w granicach Polski—lecz na Ukrainie naddnieprzańskiej. Jeżeli ich klub sejmowy tej prostej rzeczy nie rozumie, jeżeli posłom z 16-ki marzy się Ukraina w Polsce, jeżeli myślą o federacjach z Rosją — to Ukraińcy z Małopolski Wschodniej i Wołynia winni jaknajrychlej zorganizować się w celu przeciwdziałania tym grupom, które doszły do głosu w sejmie jedynie na skutek wielkiego nieporozumienia, niezorientowania się w sytuacji wyborczej i braku organizacji.

Jeżeli wyżej wspomniane mniejszości narodowe w swych własnych interesach nie zajmą właściwego stanowiska — wówczas same przyczynią się do tego, że Polska zepchnięta zostanie na tę drugą drogę, bynajmniej nie sprzyjającą dążnościom narodu ukraińskiego i białoruskiego.

STANISŁAW VINCENZ

KILKA SŁÓW O INSTYTUCIE BADANIA KULTURY W WIEDNIU

„Dla życiowych spraw ludzkości
nie ma obecnie stosownej nauki.”

E. Hanslik: Menschheit I.

Pod wpływem potężnych pchnięć umysłów kierowniczych w Zachodniej Europie w końcu XIX i z początkiem XX stulecia nauki humanistyczne żywo zaczęły sobie uprzytamniać pewną różność podstaw swych od nauk przyrodniczych i celów swych zarówno naukowych, jak i praktycznych. Równocześnie potoki nauk specjalnych humanistycznych, przedzierających się żmudnie przez nieskończone zbiorowiska i kamieniska, zaczęły się spływać i łączyć, a do ukrytych w gabine-

tach i warsztatach pracy skarbów zastosowano niegdyś oślepiające, a teraz już tylko skupiające promienie i rozjaśniające pryzmaty świetnych intuicji i uogólnień epoki filozofji idealistycznej i romantyków. Nastąpiło zbliżenie nauk poszczególnych, uświadomiły one sobie swój wspólny przedmiot. A wtedy wypłynęło zainteresowanie dla starych heglowskich „konkretnych ogólności” i pojęcia nauk humanistycznych: ludzkość, rasa, naród, rozwój, postęp czasem jeszcze w kształcie zależnym i zapożyczonym od nauk przyrodniczych, a czasem wykazujące już swą właściwą, swoistą treść, przebiegły całą drogę od rozpatrywań teorio-poznawczych i metodycznych, aż do szpalt prasy i żonglerstwa salonów i kawiarni. Ale szerokie zainteresowanie nie płynęło tylko płytkim nurtem lecz dawało dowody, że prądy, mające swe źródło faktyczne w rozstrząsaniach teoretycznych, miały głębszy podkład w epoce. Wiara w prymat woli, postawienie wychowania przed nauczaniem sprawiło, że indywidualności szukające wiary i celu dla ludzkości, stykające się z naukami humanistycznymi żądały od nich nie tylko wyjaśnienia dotychczasowych dziejów, lecz i wskazania drogi i wychowania ludzkości. I całkiem świadomie wypłynął postulat, że wiedza ma tę drogę wskazywać. Nie zatrzymując się przy wielu nader ciekawych i różnorodnych etapach tego kierunku, przypominającego w swej tendencji na inną skalę tę zmianę, jaką Sokrates wprowadził do nauki greckiej, przejdziemy do zjawiska, które poniekąd przypomina wysiłki duchowe pisarzy polskich z epoki romantycznej.

Przywódcy duchowi Polski, zmuszeni dołą swego narodu do dociekań, co to jest naród i jaki jego stosunek do ludzkości, staneli przed problemem, który nikomu nie ukazał się w tym czasie w tak dotkliwy sposób. Bo poznanie miało być wskazaniem sposobu działania, jak ochronić od zagłady te wartości duchowe, które po pęknięciu pokrywki państwowej ukazały się w całej świetności, jak uchronić je dla siebie i dla świata, dla ludzkości. W miarę rozpalania się miłości dla zagrożonego dorobku widziano w Polsce ekstrekt dobra — i dążenia do jej wskrzeszenia związane z dążeniem do najszczytniejszych celów ludzkości. I zrodziła się stąd miłość do konkretnej ludzkości, do narodów, do klas jako członków tej wielkiej społeczności. I kiedy założyciel Instytutu badania kultury, prof. Hanslik (zresztą nawet rodem Polak), przed wojną rzuca ostrzeżenia zagrożonemu światu, a w czasie wojny nieustrudzenie szuka we wszystkich narodach i „ludzkościach” dusz rozumiejących potrzeby jedności, kiedy podkreśla, że nowy internacjonalizm musi być nie przekreślaniem, lecz umiłowaniem skarbów różności, wykwitłych z samej ziemi, to żał nam, że ani w jego pracach, ani w innych analogicznych w Zachodniej Europie, nie wspomina się o Mickiewiczu i Norwidzie i tylu innych, ba, że i u nas zapomniano, iż kiedyś być

Polakiem, znaczyło to być nosicielem europejskiej myśli dążenia do zjednoczenia i miłości nie w niwelacji, lecz w uznaniu i poszanowaniu każdej indywidualności.

Instytut badania kultury powstał przed wojną w Wiedniu, jak sam to w swych publikacjach zawsze podkreśla, *extra muros* nauki oficjalnej utrzymywanej przez państwa, których instytucje służą badaniu i potęgowaniu ducha narodowego, lub państwowego, a pozatem zamykają się przed życiem. Wspomniany Instytut mieści się w Molkerbastei, gdzie niegdyś o piersi polskich i austriackich żołnierzy rozbiła się turecka nawała wschodu. I to jest niejako symboliczne dla jego celów: stąd, gdzie mieszała się krew synów trzech światów, niemieckiego (zachodniego), słowiańskiego (wschodniego) i orientalnego, ma wyjść słowo uświadamiające je o ich właściwych przepisanych przez ziemię granicach i o ich różności i jedności. Badanie Instytutu jest pedagogiczne: przez badanie kultury wszechnarodowej i przez działalność kulturalną międzynarodową zbliżyć ludzi i wytworzyć poczucie obecności całej ludzkości w każdym narodzie i człowieku: kultura świata i obywatelstwo świata. Wychodząc z teoretycznych założeń filozofji W. Diltheya z jego „krytyki historycznego rozumu“, jak ją czasem nazywają, prace Instytutu przeciwstawiają się odrazu mechanice i atomistyce psychologicznej, która chce objaśnić życie psychiczne, a zatem i historję, podług wzorów fizyki i stwarza fałszywe, lub nieprzyczyniające się do wytłomaczenia elementy psychiki, a rozbija akty psychiczne całe i jednolite, do których najprostszy jest dostęp przez zrozumienie na podstawie własnych przeżyć. Metoda subiektywizująca udostępnia jedynie te ogromne dziedziny życia psychicznego, które nie dają się, lub dają bardzo luźno podporządkować zjawiskom stwierdzonym przez mechaniczne poznanie przyrody. Należy trzymać się zdala od wszelkiej metafizyki, a więc i tej, która obecnie jest dogodna dla nauk przyrodniczych, zwrócić wzrok ku bezpośredniemu doświadczeniu, a mając obecnie bez porównania większy materiał, drogą *zrozumienia podmiotów* psychologii, historii i t.d., drogą którą od wieków kroczył historyk, biograf, poeta, wydobyć na jaw stałe, ogólne i uzasadnione związki, panujące w tej dziedzinie. (Dilthey: Einleitung in die Geisteswissenschaften Lipsk 1883)

Do celu praktycznego Instytutu: przez usunięcie nienawiści dojść do porozumienia narodów, — prowadzi droga badań humanistycznych, poznanie tego co ogólnoludzkie i poznanie różnic narodów, ras, kast, epok i t.d. Jedynym miernikiem rozwiązującym znaczenie tych różnic i wykazującym, że każda z nich jest konieczną i wartościową dla całości, jest rozwój ludzkości. On sprawia, że powstają coraz to nowe „stany zgęszczenia“ ludzkości, on, „płynąc“ ku najwyższemu dobru, ku

jednej wielkiej ludzkości, jest źródłem różnic. Człowiek stojący na tej platformie ludzkości, poznając różność jej członów, przestaje się gniewać, że są one inne niż on, a zaczyna je rozumieć. Tak więc poznanie konkretnej ludzkości, obiektywne badanie ducha, ziszczonego w dziejach, które odgaduje posłannictwo każdego narodu, służy równocześnie celom nacjonalnym narodu i wspólnym ludzkości. Psychologia kultury w duchu Diltheya jako zasadnicza nauka o jedności duszy, geografia kultury (w duchu Humboldta), historia kultury świata i socjologia kultury — oto działy badania, które należy wypracować, — lecz przedmiotem ich jest zawsze całość ducha ludzkiego.

Metoda ta nie tylko nie wyklucza badań specjalnych, przeciwnie podnosi je jako najbardziej konkretne, ale mają to być badania nie na marginesach zasadniczych problemów wiedzy, lecz w ciągłej obecności „podmiotów” jej. I tak np. badania prof. Hanslika nad problemem granicy polsko - niemieckiej („Miasto Biała”) były odrazu wskazywaniem przepisanych przez ziemię granic narodów i kultur.

Nic nie mogło dać Instytutowi takiej mocy i pobudki do rozwinięcia się, jak wojna. To na co w innych czasach musiałoby się poświęcić wiele rozumowań i dowodów można było teraz udowodnić jednym wskazaniem.

Ataki na akademje umiejętności i na zbarbaryzowanie nauki, które przed wojną wydałyby się czemś lekkomyślnem i niepoważnem, jakże były ułatwione obecnie. Akademje, które miały jednoczyć naukę i narzucać po leibniewskiemu horyzonty jedności ludzi, wykluczały wszystko, co nie było badaniem specjalnem. A wielcy przedstawiciele nauki zarzucali kulturom innych narodów, że są barbarzyńskie. Jedność nauk, okazała się czysto mechaniczną, obiektywnej nauki o kulturze wogóle nie było, a staromodna, odświeżona międzynarodowość polegała na tem, że się łaskawie przeoczało cudze różnice, a swoje tymczasem odkładało na bok. I jak lekarz, który znalazł środek na chorobę, tak prof. Hanslik i jego Instytut „odkrywając” ludzkość wołają: „heureka!” i spieszą gorliwie objawić światu swe poznanie. A „odkrywając” nie ludzkość antropologiczną, której całą wspólnością jest, jak mówi jeden z cyników Jacka Londona, że ma nogi i ręce podobnie jak my — lecz okiem twórcy-artysty spoglądają na arcydzieło ludzkości rozczłonkowanej, różnej w sobie, której jedność stworzy społeczeństwo narodów i „ludzkości”. „Ludzkość to na razie mała grupka wiedzących o niej”. I ci nie wypowiadają nowej wojny kulturalnej, (dość było wojny ze strony oficjalnych uczonych), „wojny przeciw wojnie”, nie są też pacyfistami, bo pacyfizm to polityka, a oni chcą wychowywać. Raczej chcą być rzemieślnikami pokoju, chcą pracować nad lukami kultury, kolonizować pustki i zwracać się nie zewnątrz od narodu do narodu, tylko od wewnątrz

przez duszę najbardziej czynnych i czujących jednostek wszystkich narodów; chcą być pracownikami jedności tych dusz. Ta jedność zaś jest taką samą zasadniczą rzeczywistością, jak wielość potęgi i wielość gospodarcza. To da pewną wspólną platformę dla wszystkich gałęzi badań kultury, zwłaszcza że w odróżnieniu od nauki oficjalnej nastąpi tu zbliżenie sztuki do wiedzy. Dla konkretności badania i dla skuteczności jego wpływu sztuka ludzkości winna zespolić się z badaniem ludzkości. Przebywając w Austrii i mając pracowników we wszystkich narodowościach Instytut żądał od Austrii, aby poszła śladem najwyższej sztuki, jaką wytworzyła t. j. muzyki, która w osobie Beethowena, Mozarta, Szuberta i innych, łączyła zachód ze wschodem, zespalając szkołę muzyczną niemiecką — z melodią i pieśnią słowiańską. Jednym słowem — jak to światało w niektórych głębszych umysłach, ale nie śniło się żadnemu z polityków austrijskich — pragnął Instytut widzieć w Austrii wzór dla Europy i szkołę ludzkości. Naturalnie wojenne i rewolucyjne stosunki na skutek szybkich zmian i podnieconego stanu duchowego stwarzają wiele złudzeń pełnych nadziei. I tak było zawsze gdy „przez pęknięte pokrywy i okowy państw widać było drgające ciało ludzkości“. Przypomnijmy sobie tylko złudzenia szkół heglowskich ok. 48 roku, lub naszych mesjanistów. Tak samo Instytut wiedeński w okresie końca wojny prócz pracy zajmował się gorącym manifestowaniem żądań, aby traktat, który będzie zawarty, nie był traktatem politycznym lub handlowym lecz traktatem świata, którego celem będzie wychowanie narodów w duchu ludzkości i przygotowanie pokoju w duszach ludzi.

Wreszcie kilka szczegółów z „systemu“ prof. Hanslika i Instytutu, jeśli tak można nazwać filozofję, której cała wartość leży w szczerości, bezpretensjonalności (mimo świadomość ważności zadania) i w czułości równie czulej jak u artysty.

Mimowoli nasuwa się przypomnienie, że obok „geograficznego poety“ Walta Whitmana nikt inny w tym stopniu nie łączył w sobie miłości dla różności narodów i krajów z wiedzą i pragnieniem ich jednoczenia, co „geograficzny filozof“ prof. Hanslik. Jest on bowiem profesorem geografji—i badania swoje rozpoczął od wpływu ziemi na człowieka. Tu jest dla niego najważniejszy punkt do wyjaśnienia dziejów i celów ludzkości. Z ziemi wyrasta duch ludzki, jest on korzeniem człowieka w głębi ziemi tkwiącym. Od ziemi zależny jest sposób władania siłami przyrody, system gospodarczy człowieka, od niej zależy duch jako obyczaj, mniemanie, wychowanie. Tu zdaniem Hanslika teoria materializmu dziejowego potrzebuje uzupełnienia: od ekonomji należy zejść do ziemi, do terenu, na którym się rodzi. Ale zarówno u pierwotnego jak też u kulturalnego człowieka bezpośredni wpływ

ziemi na ducha człowieka, nawet bez pryzmatu gospodarczego jest wielki. Narody, kultury, ba nawet powstanie „ludzkości”—to płody ziemi. Ziemia to lądy, morza, klimaty, góry, flora, fauna i rasy, cały podkład przyrodniczy dla kultury. Człowiek jest celem ziemi, ale będzie nim naprawdę wtedy, kiedy zawładnie całą ziemią w sposób taki, jak ona sama to wskaże. Dotychczas ludzkość dzieli się na dwie połowy; jedną, która żyje celowo i społecznie—i jedynie zasługuje na miano ludzkości—oraz na ludzi pierwotnych, dla których niema celu, niema historii i którzy nie opanowują ziemi tylko poddają się jej, do niej się przystosowują. Ludzkość opanowała przeważnie przyrodę w kierunku najmniejszego oporu t. j. w strefie umiarkowanej; zarówno pustynia jak przyroda polarna i tropikalna stawily opór. Polityczna przynależność tych krajów niema tu znaczenia. Podstawą ludzkości jest pług chłopa, a gdzie on dotrze tam i szata roślinna ziemi jest już w mocy człowieka. I tu Hanslik stara się rozbić dumę nowoczesnego człowieka, któremu zdaje się, że wszystko opanował na ziemi.

Jednym z dalszych najważniejszych zagadnień jest problem granic i rozcłódkowanie świata. Podział ziemi na części świata uważa Hanslik za nieistotny. Ośią świata przyrody, najważniejszym węzłem świata ludzkości t. j. świata historycznego jest wyżyna Pamiru. Jest ona centralnym działem wód, działem szat roślinnych i ras, i działem dusz. Na południe od niej żyje ludzkość indyjska, na wschód chińska, na zachód europejska. Ludzkość europejska ma swą oś w Konstantynopolu i dzieli się na 3 części: Zachód, którego wschodnią krawędzią jest granica między Słowianami a Niemcami, Wschód (Słowianie) i Południe t. j. kraje kultury mahometańskiej (do której należy także półn. Afryka). Granic tych nikt przekroczyć nie jest w stanie. Polityczne aneksje nic tu nie znaczą, mogą one conajwyżej na jakiś czas stłumić kulturę swoistą, która zawsze będzie trwała w kielku, dopóki się nie rozwinie. Prace Hanslika o granicy czesko-niemieckiej na Morawach i niemiecko-polskiej na Śląsku starają się udowodnić, że nawet mieszkane wsie nie zdołają zatrzeć zasadniczej różnicy kulturalnej. Zarazem nie omieszkają przytem podkreślić wartości dla czasów terażniejszych ludzi, którzy urodzili się i wyrosli na granicach dwu kultur, dwu światów i przez to do nich należą. Będąc jednak z pochodzenia Polakiem (dzieckiem biednego wyrobnika), który wszedł w krąg zachodniej kultury nie omieszkają podkreślić syntetycznej natury Słowian, których celem jest jednoczenie świata. Te idee Comeniusa, słowiańskiego mędrca, który w czasie trzydziestoletniej wojny niestrudzenie je głosił zachodnim ludziom, mają przyjść i teraz od Słowian. (Z tej okazji należałoby przypomnieć „geograficzne“ prace Wincentego Pola,

dziś może najwartościowsze z jego spuścizny, gdzie rozpatruje on Polskę jako twór ziemi i to mu daje wiarę w jej nieśmiertelność).

Jak powstała ludzkość, jak powstały konkretne trzy gałęzie ludzkości? Są one dziećmi ziemi. Ludzie pierwotni jak dziś, tak dawniej istnieli dawno przed powstaniem ludzkości. Ludzkość, to jest zorganizowana społeczność opanowująca przyrodę, powstaje tam, gdzie małe oazy w pustyni zmuszają do wytężonej pracy, a nie nasuwają zbyt trudnych gospodarczych zadań. Oazy Nilu i Mezopotamja to kolebki europejskie ludzkości, oazy kraju pięciu rzek to kolebka ludzkości indyjskiej, a półwysep roślinny Hoangho to początek Chin.

Ziemia porodziła ludzkość, która raz zrodzona łączy się i potężnieje. Ale ląd nie może dać postępu, nie może dać *odrodzenia*. Ląd cały jest wyspą w morzu. I dopiero człowiek, który opasał morze, ten środek komunikacji, jest człowiekiem ziemi, stwarza postęp, stwarza *jednocześnie ludzkość* w wielu krajach. To Grecja, a w dalszym ciągu Europa zachodnia jest ludzkością w morzu, a stosownie do tego zmiennego i groźnego żywiołu jest ludzkością wynalazków, wszechobecną, a opartą tylko na sobie.

Stosownie do tego ukształtował się charakter Wschodu, Zachodu i Południa. Wschód (Europy) to część zachowawcza ludzkości z większą wiarą w świat a mniejszą w siebie. Zaś Południe (a właściwie Orjent mahometański) to wysoka choć bezwzględna i niwelująca wiara w jedność.

Naturalnie te teleskopiczne uogólnienia zyskują na wyrazności w miarę studjów Instytutu; tymbardziej że każdy dział ma tam swoich specjalistów. Nabierają one aktualności w zastosowaniu do chwili obecnej. Pełen podziwu dla jedynego dotąd w historii „odrodzenia ludzkości w morzu” Hanslik jest surowy dla nacjonalizmu i zamurowania się w sobie każdego z narodów zachodnich, które nie wierzą w ludzkość, nie wierzą w zjednoczenie. Z pewnością ich idea nacjonalistyczna, aby polegać na sobie samym, jest głęboką, ale brak jej uzupełnienia przez wysoką wiarę w jedność. Zachodni ludzie opanowali częściowo przyrodę, ale dlatego wszyscy chcą być panami. I dlatego sąd Boży w postaci wojny spadł na nich, aż się opamiętają, albo zniszczą się wzajemnie. Słowiańskim ludom przyznaje Hanslik zdolność zrozumienia idei federacji narodów, za jaką chciał uważać Austrię.

Te kilka przykładów systemu Hanslika streściliśmy dla ilustracji myśli. Dokładne streszczenie i zorientowanie w wydawnictwach Instytutu musiałoby urosnąć do rozmiarów książki. Najważniejszą innowacją, o której trudno dać wyobrażenie, jest to, że żaden wykład nie odbywa się tam bez map lub filmów w niezmiernie, pomysłowy sposób graficznie uprzytamniających różne zagadnienia.

Do nauki o granicach sam autor przykładą duże znaczenie, dlatego wspomnieliśmy o niej. Miała ona mieć także aktualne znaczenie, bo wskazywała, że naskórkowe tarcia i częste obawy narodów są bezpożyteczne, gdyż i tak jeden drugiego nie zniszczy,—a zarazem chciała z najtrudniejszej sprawy zrobić najpożyteczniejszą, używając ludzi urodzonych i żyjących na granicach dwu kultur do *specjalnej* współpracy, jako należących do dwu kultur i powołanych do ich zbliżenia. Ostatnie zdarzenia, jak powrót Górnego Śląska do Polski po tylu latach wykazały po części słuszność tych sądów, ale upadek Austrii dowodzi, że „duch dziejów“ wołał raczej wybrać drogę czasowej przynajmniej separacji narodów, dla ich uzdrowienia,—z musu bowiem nie ma miłości.

Wielką zasługą pedagogiczną Hanslika, już w ściślejszym znaczeniu t. j. dla adeptów chcących studjować kulturę świata, jest to, że w przeciwieństwie do wielu dotychczasowych książek i badań przystępując do nauki o ludzkości, o sztuce czy wychowaniu, nie zabija w uczącym się tego skarbu zapału, który kryje się w młodych sercach, lecz pytając, co to jest ludzkość, sztuka i t. d., co mamy i możemy my dla niej zrobić, budzi chęć, zaprzęga wszystkie siły, — przygotowuje grunt pod jedność duchową, jaka cechowała wielkich mistrzów myśli i nauki nowoczesnej.

K. L.-KRZEWSKI

PROF. CHRZANOWSKI I JEGO KSIĄŻKA

(Dokończenie)

Słów parę poświęcić trzeba „ojczyźnie“ prof. Chrzanowskiego, czyli pierwiastkowi patriotycznemu w jego pracach, który tętni w nich żywo. Inaczej być zresztą nie może u historyka literatury polskiej, który śmiało rozprawia o ideach dzieł polskich bez zważenia na wiek, z którego pochodzą. Historyk literatury, Francuz, przy swoim polskim koledze nie wydaje się być wcale... patriotą, choćby jednemu w sercu dzisiaj orkiestr tak grzmiało Marsyljanke, jak drugemu „Jeszcze Polska”...

Tłomaczy się to charakterem politycznym literatury polskiej, który Tarnowski uwydatnił pisząc o literaturze XIX w. i czemu jego następca poświęcił swój wstępny wykład na Uniwersytecie Jagiellońskim, rozwijając i udowadniając twierdzenie Mickiewicza, że literatura polska

„wzrosła, wybuchała i zakwitła pod życiodajnem tchnieniem miłości ojczyzny“. Mówiąc o *Ideji osobowości w historii literatury* stwierdza prof. Łempicki, że dla niektórych badaczy... „zawartość dzieła, a więc bądź to pewne idee, bądź też typowe refleksy uczuciowe na pewne doznania życiowe stanowią przedmiot istotny historii literatury. Ten punkt widzenia przeważał i przeważa w polskiej historii literatury“, co tłumaczy się... „przewagą pierwiastka ideowego w literaturze polskiej w epokach najpiękniejszego jej rozwoju.“¹⁾

Tłumaczy się to także tem, że nasi historycy literatury wprzęgli się również w ciężki kierat służby narodowej. Podzielają do pewnego stopnia los naszych pisarzy. Oto dlaczego polscy historycy literatury, nie wyłączając Chrzanowskiego, powielokroć stawiają „szerzycieli światła“ w narodzie na jednej płaszczyźnie z twórcami, „znakomitych Polaków“ — obok świetnych poetów. W ostatniej książce prof. Chrzanowskiego wystarczy przeczytać jego dawniejsze rzeczy o *Konarskim* i *Kołątaju*, z których pierwszy — jest wiekopomny w dziejach *oświaty*, a drugi prawdziwy mąż stanu, twórca i obrońca Konstytucji 3 maja — jest posągiem w dziejach myśli *politycznej*. Podkreśla tam autor nie tylko to, co dzięki zrealizowanej pracy obydwu reformatorów stało się dobrodziejstwem współczesnych i sięgnęło skutkami dobroczynnymi w lata przyszłe, lecz i to, co z tegoż ziarna ich przewidującej inycji jest ciągle zdrowym pokarmem naszej współczesności.

Nieblahe to zagadnienie, wypływające z reformy szkolnej Konarskiego: „szkoła nie dla szkoły, ale dla życia“ zarówno w wychowaniu umysłowem, jak i moralnem. Nielada to idea, ta kołątajowska.

Więc prof. Chrzanowski kończąc rzecz swoją o reformie szkolnej Konarskiego przeprowadzi (zwyczajem często stosowanym przez krytyków) analogję pomiędzy wielkim pijarem, a Mickiewiczem. „Ci dwaj... Konarski i Mickiewicz, chociaż pierwszy tylko mądry, a drugi genialny, chociaż pierwszy syn wieku oświeconego, a drugi dziecie epoki romantyzmu, to dwa duchy pokrewne“...

Bo pierwszy dokonał reformy umysłów, która była „dla narodu polskiego w XVIII wieku kwestją bytu albo niebytu“, a drugiego błogosławioną zasługą jest „reforma serc — serc zboliałych, wycieńczonych, próżnych wiary i nadziei“. Przy ich grobach przykleknie na chwilę i pomodli się (jak to Chrzanowski) słowami Asnyka:

¹⁾ *Pamiętnik literacki*, 1920, str. 5.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
 W żywej ludzkości wiecznie ma siedlisko,
 A grób proroka, mędrca, bohatera,
 Jasnych żywotów staje się kołyską.

I przeżegnawszy się, powie już swojemi słowy:

Niechże ich groby będą nam kołyską nowych żywotów!

Niechaj zawsze nam świecą te dwa słupy ogniste i niech nas prowadzą do naszej Ziemi Obiecanej.

Budujmy naszą Ojczyznę — taką, o jakiej marzyli Konarski i Mickiewicz: potężną rozumem, a gorącą sercem; religijną, ale nie klerykalną; nie szlachecką, ale demokratyczną, narodową, ale nie szowinistyczną; postępową, ale patrijotyczną!“

A innym razem powie w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego, tego Uniwersytetu który tyle zawdzięcza Kołłątajowi, a który go uczył dopiero w lutym 1912 r.:

„I niczem innem nie uczi Uniwersytet Jagielloński tak godnie i tak owocnie jubileuszu Kołłątaja, jak wzięciem do serca i do woli tej wielkiej jego idei o jedności narodu polskiego. Bo właśnie Uniwersytet Jagielloński ma pod tym względem niezmiernie szerokie pole do pracy narodowej: my wszyscy, zarówno uczący, jak uczący się przybywamy do Krakowa z najróżnorodniejszych dzielnic Rzeczypospolitej, niegdyś jednej, dzisiaj rozbitej; jednocząc nas we wspólnej pracy, w umiłowaniu nauki polskiej powiększającej i polepszającej dusze nasze, niech nas tem samem jednoczy nasz ukochany Uniwersytet w poczuciu jedności narodowej, niech kuje z nas „wielki posąg — z jednej bryły, a tak hartowny, że w gromach nie pęknie“; niech świadczy wobec swoich zarówno, jak obcych, że Polska, choć pod trzema zaborami, i choć po świecie rozproszona, nie przestała być Polską, bo jest „jedną moralną istnością“ jest jednym *polskim* narodem!

I tak jak w „encyklice“, tak i w innych rzeczach zebranych w ostatniej książce prof. Chrzanowskiego jest „ojczyzna“, którą głosi nie tylko uczony, lecz i uczony i patrijota.

V.

Cóż to wogóle znaczy w tym niesamowitym *Chrzanie w pyta- niach i odpowiedziach*¹⁾, że prof. Chrzanowskiego najbardziej interesuje w literaturze polskiej nie co innego tylko: „kto *pierwszy*“...

Zajrzyjmy do *Wśród zagadnień książek i ludzi*—może tam znajdziemy na to odpowiedź.

Jan Seklucjan był tym, który „obdarzył Polskę *pierwszym*“²⁾ drukowanym przekładem Nowego Testamentu“.

Wyznanie wiary chrześcijańskiej „pierwsze to dziełko Seklucjana (1544)“ jest, jak nas uczy Chrzanowski „*pierwszą* syntezą tego wszyst-

¹⁾ Patrz poprzedni numer *Drogi*.

²⁾ Wszystkie podkreślenia „pierwszych“ — moje.

kiego, w co nowowiercy polscy wierzyli". W historii literatury polskiej jest to *pierwszy* w XVI wieku utwór prozy, który nie jest ani tłumaczeniem, ani przeróbką, jak *pierwsze* nasze książki "... Wyznanie Seklucjana poprzedza dedykacja, „którą możnaby nazwać *pierwszą* napisaną po polsku autobiografią".

W r. 1547 wydał Seklucjan *Pieśni duchowne a nabożne*. Otóż jest to „*pierwszy* drukowany zbiór pieśni polskich, który był pobudką do układania i ogłaszania drukiem dalszych licznych kancjonałów...”

Kiedy książkę Albert zwrócił się do Seklucjana, aby wydał *Nowy testament* po polsku, to Seklucjan, ucieszony niezmiernie „rozesłał listy i rejestra, z którychby potem za podpisaniem każdego wiedział, coby kto dał i coby zasię brać miał...,” czyli „ogłosił prenumeratę — on *pierwszy* w Polsce”.

Ale dajmy spokój Seklucjanowi, bo go ks. Dr. J. Warmiński tak obrobił (*Andrz. Samuel i Jan Seklucjan*. Poznań 1906), że zakłucać mu wieczny odpoczynek... w piekle byłoby rzeczą wprost nieludzką. Chodźmy lepiej do Reja, a warto z prof. Chrzanowskim zawiatać do ojca literatury. Miła gościna! Tu ci „kurki gmerzą“, tam znowu „gąski gają“, „ano jagniątko wrzeszcza, ano prosiątka biegają, ano rybki skaczą”.

I choćby Rej, piniacz srogi, po przegranym procesie do dom wrócił lub okrutnie zawzięty na sądy się wybierał — to jednak z kim, jak z kim, ale z urodzonym Chrzanowskim przyjmie nas doskonale, bo wie stary, dociekł nie uczonym, lecz zdrowym swoim rozumem, że Chrzanowskiemu bardzo wiele zawdzięcza. Więc nam tam „niosą jabłuszka, gruszcзки, wiśneczki, śliweczki z pierwszego szczepienia“... „Ano—potem—młode masłka, syreczki... jajka świeże“. Czemu chata bogata—tem rada... „Używaj, miła duszo — jak zachęca gospodarz — masz wszystkiego dosyć!“ A że z prof. Chrzanowskim i *pierwszego* nie zabraknie, więc ci chyba tylko mleka ptasiego i piątej klepki nie dostaje.

Ale cóż? Nie będziemy przecież wspominali, co Rej *pierwszy* zrobił. Lepiej posłuchajmy, co przy Reju robiono. Bełcikowski „*pierwszy* zajął się—pobieżnie zresztą—treścią całego *Zwierciadła*“. W. Gostomski zaś jest autorem *pierwszego* studjum, poświęconego specjalnie *Żywotowi człowieka poczciwego*. „*Pierwszy* Chmielowski żywił tę obawę“, że *Zwierciadło* nie jest utworem samodzielnym. Niech to wystarczy, bo mi śpieszno do Skargi.

Kto bierze jego *Kazania* do ręki, niech pamięta, że „wydanie warszawskie kazań sejmowych, z roku 1792“, to „*pierwsze* osobne i *pierwsze* — od roku 1600 — całkowite wydanie...“ i że Krasicki „poznał się, bodaj, czy nie on *pierwszy*, na języku Skargi i zalecał wczytywanie się w jego pisma każdemu, kto tylko dobrze po polsku chce mówić albo pisać...“

Niech te tak różne rzeczy *pierwsze* wystarczą, a zaznaczam, że mi jeszcze wiele, wiele pozostało. Mogłbym zacząć i z końca.

Ale czem sobie wytłumaczyć tę całą „pierwszozną“ u prof. Chrzanowskiego? Ja tłumaczę to sobie sposobem źle widzianym, bo irracjonalnym. Oto nad kolebką Chrzanowskiego wróżka, przeznaczająca go na historyka literatury, wyszeptala jakieś szczególnie mocne zaklęcie *historyczno-literackie*. Że się dziecina z kołyski nie zerwała i łba nie urwała babie, darzącej niewinną istotkę zawodem, wymagającym bezustannego czytania, a przedewszystkiem odczytywania prac pro-i-seminaryjnych — to się da łatwo wyjaśnić tem, iż żadne niemowlę nie wie o tem, że „dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze, Ten młody zdusi Centaury“...

Nie mniej przecież — stało się. Bez siły wyższej (albo zgola nieczystej) nie obeszło się tutaj. Pomyśleć tylko: w ciągu paru wieków literatury polskiej było tylu autorów, tyle książek, tyle idei, tyle gatunków literackich i t. d! Aby to wszystko tak ułożyć sobie w głowie, by wiedzieć, co kto *pierwszy* zrobił, nie wyłączając takich szczegółów, jak ogłoszenie pierwszej prenumeraty, na to potrzeba mieć w mózgu własnego Estreichera, specjalnie notującego rzeczy *pierwsze*.

* * *

Prędzej przejdzie wielbłąd przez ucho igielne, niż prof. Chrzanowski obok jezuitę, aby mu czegoś nie wypomnąć. Czy Chrzanowskiego najbardziej zloszczą, jak głosi ułamek *Chrzana w pytaniach i odpowiedziach*, ojcowie jezuitę tego nie wiem. Ale, że jezuitów nie lubi — to fakt.

Trochę dlatego, że ich lubiła „ciemna szlachta stanisławowska“.

I dlatego, że tłumili wymowę Skargi nie pozwalając mu gromić złotej wolności szlacheckiej. I dlatego, że przez oportunizm usunęli z niektórych starych wydań *Kazań*, kazanie o monarchji. Dlatego także, że „głównymi pasterzami, pasącymi baranki w tym... (XVII) wieku, królami w państwie „wielebnego głupstwa“ byli jezuitę“.

Nie lubi ich, bo w swoich szkołach na pytanie: „Na czem szczęście Rzeczypospolitej zawisło?“ uczyli odpowiadać: „Na kanonizacji świętego Jana Kantego“.

Ma z nimi na pieńku za różne, przeróżne sprawy. Prędzej podjąłbym się wyliczyć wszystkich *pierwszych* Chrzanowskiego, niż powody, dla których nie lubi jezuitów.

Ksiądz Urban (z „Przeglądu powszechnego“) omawiając ostatnią książkę Chrzanowskiego zaznacza, że profesor jest niełaskaw na jezuitów przedkasacyjnych. I że ta niełaska — to „moda przestarzała“. Oj! niełaskaw! Jezuitę przez swoją działalność „oświatową“ dokonali tego,

że się Polsce zerwał związek umysłowy z Europą. Kto wie, jak Chrzanowski ceni taki związek, jakie znaczenie mu przypisuje i kto do tego wie, czem jest *tradycja* według Chrzanowskiego — ten z pewnością zrozumie, że ojcowie jezuiti *osobiście* skrzywdzili profesora i to ciężko. Jezuita tak się wysypiają w ostatniej książce prof. Chrzanowskiego, jak sobie w historii pościelili i na to niema rady. Co zaś do „przestarzałej mody” — to oznaczałaby ona manję prześladowczą, której Chrzanowski w stosunku do jezuitów nie uległ, gdyż zawsze o nich mówi *do*, lecz nie *od* rzeczy. Zresztą odczytajmy sobie: „Ograniczenie monarchji w celu wywyższenia Kościoła doprowadzili jednak teoretycy, jezuitami zwani, do krańcowych konsekwencji. Na tej podstawie paradoksalnej została oparta teoria monarchobójstwa, biorąca z powodów czysto-politycznych, stanowczy rozbrat z sumieniem ludzkim i z wszelkiem poczuciem sprawiedliwości”. Zdanie to, tak powściągliwie napisane, wygłosił nie Chrzanowski, lecz Aleksander Rembowski,¹⁾ który zasilął *Niwę* swojemi pracami wspólnie z Tarnowskim, Szujskim, Dzieduszyckim, a znalazło się ono w studjum, wydrukowanem w... *Bibliotece dzieł chrześcijańskich*. Niech wolno będzie stwierdzić, że po tem jednym zdaniu Rembowskiego wszystko, co Chrzanowski rąbnął jezuitom jest tylko mocniejszym głaskaniem pod włos. Nie broni się tutaj prof. Chrzanowskiego przed niczyjemi zarzutami. Ostatecznie, trudno od niego wymagać, aby trzymając z pijarami świadczył jeszcze dobrodziejstwa jezuitom.

* * *

Z dalszych trzech pytań, składających się na *Chrzana*, podanego w poprzednim numerze *Drogi*, rozpatrzę dla braku miejsca jedno tylko.

Zatrzymam się przy tem, że *Chrzan* cytuje Asnyka od „Bogurodzicy do Wesela”. Otóż jest to prawie prawdą i bardzo proszę, by tę „prawie prawdę” uznano nie za kłamstwo, lecz za taką nieprawdę, w której mieści się wiele z całej prawdy.

W różnych studjach, umieszczonych w ostatniej książce, rozsiał prof. Chrzanowski tuzin wyjątków z Asnyka. „Najwidoczniej jest to ulubiony poeta profesora — powie ktoś — i niema się nad czem zastanawiać”. A właśnie, że się można zastanowić. Oczywiście, wszystkie te „Asnyki” zawierają takie myśli (z rzędu „złotych”), z którymi się Chrzanowski godzi i którymi się przejmuje. Pod tym względem Asnyk nie byłby wyjątkiem, gdyż autor *Wśród zagadnień...*, posiada wyraźną i zrozumiałą skłonność podkreślania w poglądach wyrażanych przez ludzi pió-

¹⁾ Por. *Pisma*. T. III, str. 13.

ra i ich właściwościach tego, co jest jego własnym udziałem. Kiedy np. broni gorąco stylu Askenazego, zabarwionego sądem i uczuciem tego historyka—to broni mimowolnie i swego stylu, który również może być w wielu wypadkach nazwany nienaukowym (ale tylko przez pałę „naukową”). Kiedy zaznaczy w *Spasowiczu*, że „on zawsze głęboko wierzył, że dobrze zrozumiany patryjotyzm nie jest w konflikcie z etyką ogólnie ludzką, że etyka jest *jedna* tylko, że wprowadzić do niej rachunek podwójny — to znaczy ją nie tylko kazić i paczyć, ale wręcz zabijać” — to ten, kto będzie pisał obszernie o Chrzanowskim może to samo i o nim powiedzieć bez omyłki. I t. d.

Ale Asnyk jest wyjątkiem pod tym względem, że w nim, a raczej z niego podkreśla Chrzanowski tak często, a więc i tak wiele. I nad tem właśnie warto zastanowić się choćby pobieżnie. Chrzanowski (ur. w 1866?) tem się różni od Tarnowskiego i Chmielowskiego, że nigdy nie należał do żadnej t. zw. „grupy”, nie był „młodym”. Tarnowski zestarzał się ze stańczykami, a Chmielowski był mocnym filarem tych „młodych”, którzy stanowili w r. 1868 wyraźny obóz ideowy pozytywistów.

I Tarnowski i Chmielowski zostali „starymi” i patrzyli na nowych „młodych” grupujących się w *Życiu*. Otóż Chrzanowski za młody (a raczej za dziecinny) na r. 1868—nie przymknął do młodych z 1897 r., po za innemi decydującemi o tem powodami także dlatego, że mając głównie, choć niewyłącznie, zainteresowania, historyczno-literackie był trochę w... tyle (zwykły objaw u krytyków, kształcących się na krytyków naukowych). Nie będąc nigdy „młodym” rośł przecież młody Chrzanowski w okresie pozytywistycznym, który na umyśle jego wycisnął piętno silne i wyraźne. Szacunek dla wiedzy i znaczenie, jakie przypisuje oświacie, głęboka wiara w postęp (idąca u Chrzanowskiego z głębokiem przekonaniem, że ludzkość kroczy nie ku Antychrystowi, ale, choć wolno, do Chrystusa), gorąca obrona wolnej myśli idąca w parze z ciskaniem „piorunów” na fanatyzm i zacofanie, antyklerykalizm i tolerancja, rzetelne, jak brylant czystej wody, poczucie godności narodowej bez zarozumiałości narodowej, (a co z tem idzie: patryjotyzm bez szowinizmu), demokratyzm bez radykalizmu i wreszcie nieprzyjazne oko, podejrzliwie skierowane w stronę niemiecką—oto cechy (by wymienić tylko te, które dadzą się łatwo zilustrować rzeczami umieszczonemi *Wśród zagadnień...*) widoczne w Chrzanowskim, jak na dłoni, a tak nawszkroś pozytywistyczne (w naszym, polskiem znaczeniu). Świadom tego, nigdy się nie dziwię „Asnykom” Chrzanowskiego, gdyż Asnyk jest istotnie „poetą—pozytywistą”. Kiedy prof. Chrzanowski deklamuje Asnyka—to swój przez swego głosi swoje.

VI.

Skończyłem z *Chrzanem w pytaniach i odpowiedziach*, uchwyciwszy się pozornie niebezpiecznego przedsięwzięcia — oparcia żartu akademickiego, ukutego na podstawie wykładów prof. Chrzanowskiego na jego ostatniej książce. Wszystkie te pytania i odpowiedzi, ułożone z przesadą, zawierają w sobie część prawdy. Po odrzuceniu karykaturalności rysów profesora nie otrzymaliśmy jego wiernego portretu, ale parę rysów, jak wierzę, podobnych. Jest to amatorskie zdjęcie dokonane z autora *Wśród zagadnień...* i aparatem, opartym o tę właśnie książkę. Stręciłem z niej *Ideę kultury* tak charakterystyczną dla prof. Chrz. Na streszczenie trzech znakomitych rozpraw p. t. *Zwierciadło Reja przed sądem historii, Kult Skargi, Mickiewicz wobec kościoła w osłatnim kursie Prelekcji paryskich* brak stanowczo miejsca. Jest to zresztą zbyteczne. Streszczać pierwsze studjum bołoby to wygłaszać, że królowa Bona umarła. W literaturze rejowskiej — rzecz pierwszorzędnej i trwałej wartości. Nosi ona tytuł, który mnie zawsze zmusza do uśmiechu. *Rej przed sądem!* Kiedy miał lat 25 był komornikiem sądowym, w dziesięć lat później taki jest pewien siebie, że się zdaje w spór sądowy z Pilchowskim, biskupem chełmskim, a z żoną (z którą nie głupi siedzieć razem) spotyka się raz w raz w sądzie krasnystawskim, aż wreszcie trafiła kosa na kamień: piniacz srogi (którego biografię wysnuwano mozolnie z aktów sądowych) trafił na sędziego śledczego, Chrzanowskiego. Ilu świadków trzeba było z grobu wywlec, łącznie się domysleć. Ale prawdzie stało zadość, sędzia zaś śledczy stał się głośny. W *Kulcie Skargi* jest już Chrzanowski sędzią (choć pracuje sposobem sędziego śledczego): wypytuje, bada, oskarża nie wierzy w jasnowidzenie Skargi. I wydał wyrok sprawiedliwy: Skarga—fanatyk, nietolerant i...jezuita, ale człowiek czysty, patriota gorący i pisarz! co za pisarz! Już w *Kulcie Skargi*, jako sędzia zdradzał Chrzanowski zdolności obrońcy (nie należy brać rzeczy prawniczo) więc w *Mickiewiczu wobec kościoła* pyta głośno niczem obrońca: „Więc cóż było takiego w duszy Mickiewicza, co go skłoniło do napaści na „kościół urzędowy“? Otóż to studjum powinien przeczytać każdy, kto go nie czytał, a kto czytuje *Prelekcje*.

* * *

Wśród książek, które omówił prof. Chrzanowski, dwie szczególnie, jedna ks. Warmińskiego, a druga *Łukasiński* Askenazego, mają nie recenzje, lecz rozbiory. Tak właśnie należy pisać o takich i podobnych książkach. Umieszczenie przez Chrzanowskiego w książce dawniejszej rzeczy o *Łukasińskim*, drukowanej w *Sfinksie* dowodzi tego, że

prof. Chrzanowski nie zapominał o tem, że Askenazy to wcale niezły historyk polski i że ma jakie takie zasługi naukowe. A są przecież ludzie skądinąd wykształceni, którzy jak na komendę nie pamiętają o tem. Mówić o Askenazym, jako o uczonym i to znakomitym — to dla względów nie mających nie wspólnego z nauką historii jest, zdaje się, *czynem* niepatrjotycznym. I któżby się spodziewał, że prof. Chrz. czyn taki popelni?

VII.

A jak ta książka jest napisana? Przedewszystkiem jest napisana stylem bez ceregieli. Możeby ktoś zrozumialej powiedział, że Chrzanowski łączy prostotę stylu z jędrnością i dosadnością. Staremu A. G. Bemowi styl ten podobałby się nie tylko dlatego, że niema w nim błędów gramatycznych i „logicznych,” (jak często Bem nazywał usterki stylistyczne). Podobałby mu się także, jako objaw stylu „nienarodowego”. Kto zna liczne recenzje Bema ten wie, że stylem „narodowym” nazywał on. zgryźliwie styl takiego autora, który się sadzi na „poetyczność”, wymyślne porównania i wogóle „ładne” słowa i wytykając to obawiał się gderliwie, że postępuje sobie... niepatrjotycznie.

Weźmy porównania Chrzanowskiego, tak charakterystyczne dla każdego pisarza. Z wyjątkiem częstego „kopernikowskiego” („...około tej prawdy, jak *ziemia koło słońca*) jedno bodaj częste porównanie jest z nieba („z jasnością słońca świecącego na niebie”). Inne tak różne są nawskroś ziemskie i takie, że się człowiek dziwi. Dziwi się, że te porównania robią swoje i że są takie proste. „Bo on nie był z tych małodusznych, którzy, jak *zając własnego cienia* boją się własnych przekonań... Trwożliwi, którzy boją się, *jak djabeł święconej wody*”. Obludni „*jak złodziej ze zdobyczą*” kryją się z tym, co poczytują za prawdę”. Po za tem profesor *rabie*: Życzliwość Watykanu dla Polski jest *głupią bajką*. „*Panieńska skromność* Seklucjana *porodziła* mu sławę” (a przedtem napisał, że Seklucjan stał się skromny, jak panielka). „Lecz jakże tego ks. Warmiński dowiedzie? Czy czasem nie skończy się dlań sprawa... *pod ławą*”?

Cóż to „*raowanie*” oznacza? Oznacza, że Chrzanowski uważa, iż historyk literatury to *też* człowiek, że więc i jemu wolno *pisać*, używając *mowy* potocznej, nie koniecznie zaś języka w todzie. Styl Chrzanowskiego jest stylem uczonego profesora bez przesądów profesorskich. Chrzanowskiego wychowali pomiędzy sobą żywi ludzie i dlatego ani się wstydzi, ani się zastanawia, czy profesorowi uniwersytetu *wypada* przypominać, że Rej drwił sobie z Litwinów, że „*kiedy z Laszkami śpiąją*”, to po obudzeniu się niezbyt przyjemnych i niekoniecznie estetycznych doznają wrażeń“.

Jeżeli kto wpłynął na styl Chrzanowskiego, to chyba ten, co ułożył *Księgę przysłów*, Samuel Adalberg. Kropi Chrzanowski przysłowia jedno za drugim („A Seklucjan tymczasem nie *zasypiał gruszek w popiele*“). Każdy to sobie stwierdzi.

Ze swoim stylem niebakalarskim jest Chrzanowski jak najbardziej profesorem. Jest nie tylko nauczycielem, ale i gorliwym korepetytorem, co w sposobie jego pisania znać z częstych zwrotów: *raz jeszcze, inaczej mówiąc, innemi słowy*. Tylko beznadziejnie tępemu człowiekowi niewbija Chrzanowski w pamięć, że „*Kazania Sejmowe to nie tylko* arcydzieło wymowy..., *to także* jedno z... arcydzieł literatury patriotycznej; *co więcej* jeden z największych w polsce czynów politycznych“.

Chrzanowski w książce przejmując się i unosząc. Wiele rzeczy bierze do serca. Mając w swej umysłowości tak wiele z „pozytywisty“ — jest to jednocześnie z pośród żyjących historyków literatury najbardziej gorący i bezpośredni w sposobie pisania. Jak to dobrze, że Chrzanowski nie żył w dawnej Polsce! Bo jakby miał (nie parając się piórem) chwycić za szablę... strach pomyśleć!

VIII.

W rozdziałku poprzednim potrafiłem za ledwie o styl Chrzanowskiego, chcąc dać pojęcie o tem, jak pisze człowiek, który pozostanie w swoich książkach — i które dlatego, choćby się postarzały kiedyś, będą zawsze miały rumieniec życia.

A *Wśród zagadnień, książek i ludzi* jest człowiek, który w powojennym czasie paskarstwa, kiedy człowiek dla człowieka nie tyle jest wilkiem, ile paskarzem zdolnym do „paskowania“ literalnie wszystkim, nie wyłączając haseł najpiękniejszych i najszczytniejszych, chodzi sobie po Krakowie (zawsze w „okrągłych“ niemodnych mankietach z epoki Ericha Schmidta) z głęboką wiarą, że ludzkość stanie się przecie ludzkością Chrystusa. I jak widać z ostatniej książki prof. Chrzanowskiego, zawierającej tak różne zagadnienia, jest to człowiek, który nigdy nie zaprzeczy temu, co przyniosła zwycięska myśl naukowa, nigdy i dla żadnego powodu.

Bo któż bezstronny zaprzeczy prawdzie zawartej w zdaniu Lud. Büchnera, że dziś jeszcze istnieją ludzie, którzy chodzą nago, mieszkają w jaskiniach, żywią się mięsem swoich, podlegają najdzikszemu zabobonom i nie umieją liczyć dalej jak do dwóch lub trzech. I w zakresie życia umysłowego i duchowego tak się dzieje czasami z ludźmi, którym nie można odmówić tego, że są ludźmi wykształconymi. Są u nas ludzie wykształceni, którzy ucząc się przez długie lata, wychodzili na przeciw myśli zwycięskiej, pozwalali się jej zdobywać, a dziś powielekroć zaprzeczają jej dumnym wynikom i jej dobrodziejstwom. Oni to

uczą chodzić nago, oni to szerzą najdziksze zabobony, oni to jedzą swoich i pobudzają do pożerania i żarcia się bezustannego. Oni to już nie umieją liczyć do trzech, bo nie są w stanie obliczyć do czego to ich ślepe działanie może doprowadzić. Nie są to maruderzy myśli europejskiej, lecz jej zdrajcy i fałszerze, którzy dla różnych celów „przystosowują“ na swój sposób jej wyniki do „naszych“, warunków. I są pośród nich tacy, którzy względem wszystkiego posiadają dwie miary nawet moralne. Nie wierząc, w cuda umieją otrąbić cud, by, nie mogąc w żaden sposób sobie — nie przyznać zasługi innym. Idąc za trumną zamordowanego, gloryfikują mordercę.

Książka prof. Chrzanowskiego, która sama przez się jest książką tak wartościową, w której oprócz wiedzy i prawdy naukowej jest także prawda ludzkiej duszy i sąd, wypływający z sumienia — na tym tle staje się książką z wieloma, wieloma stronicami promieniąjącymi.

Il fare un libro è meno che niente,
Se il libro fatto non rifà la gente.

Oby ta książka działała!

LESŁAW J. SŁOBODA :

L I S T Z W I L N A :

Ostatecznie sprawę b. Litwy Środkowej zlikwidowaliśmy. Narreszcie ojczyzna Kościuszki, Mickiewicza, Trauguta, Piłsudskiego może zawołać: złączyliśmy się z narodem! Marzenia całych pokoleń wychowanych w męce, w walce, w opętającym strachu przed żandarmem, w nienawiści ku rządowi, który gnębił duszę i ciało swych niewolników, marzenia całych pokoleń dążących do wyzwolenia i wbrew nadziei nieraz, wierzących w zwycięstwo — spełniły się. Nie tylko oręż polski zapanował nad lasami południowo-litewskimi, lecz i Rzeczypospolita objęła pod swoje opiekuńcze skrzydła krainę tęsknoty i jezior, śniących dziwne klechdy o świteziankach, które w nurtach przepastnych miodrych toni znajdowały ukrycie przed Rusami, lub gorszymi jeszcze Krzyżakami.

W 63 r. ostatni porachunek zbrojny z przemożnym wrogiem, a potem gehenna męki, szubienice, Sybir. W 63 r. ostatnie proklamacje polskie, a po nich głucha cisza. Litwa oniemiała,—bo na ulicach i w miejscach publicznych „strogo wasproszczajetsa gawarit' papolski"! Nie

wolno wydawać pism polskich, a słowo żywe, słowo Śniadeckich, Mickiewiczów, w ognisku kultury polskiej — skazane na zamarcie. *Vae victis!* Murawiew, godny następcą Nowosilcowa, zatryumfował na cokole, na tak nazwanym obecnie placu Napoleona, a Katarzyna II dumnie i z szydem spoglądała na hołdujących jej „Katarzyńców“. Góra zamkowa, gdzie chowano ostatnich zbrojnych powstańców po ich rozstrzelaniu, była świadkiem tryumfu bestji apokaliptycznej. Lecz oto przyszły znane wypadki dziejowe.

I trzeba było tylko kilku lat, aby to, co było zduszone, na nowo ożyło.

Tajna za czasów carskich szkoła wyszła na światło dzienne. Nauczyciel-konspirator stał się jawnym nauczycielem społeczeństwa. Słowo polskie pisane, mówione w teatrze i na uniwersytecie — zapanowało. W walce podziemnej zahartowaliśmy się, musieliśmy przeto zwyciężyć. To co było sztuczne w Wilnie (litwomania), okazało się bańką mydlaną; pękła ona, a zostało jądro silne, które rozwija się i ujmuje coraz dalsze kręgi.

Byłem poraz pierwszy w Wilnie w 1916 r. Moskiewszczyzna pannaowała wszędzie, a polskość, zwalczana przez Prusaków, tuliła się do murów tradycji i zdawało się, że dwie wrogie siły, niemiecka i moskiewsko-żydowska, zdławiają na śmierć tę biedną Polonię.

Byłem w szkole powszechnej; nauczycielka, dawna wygnanka na Sybir, z obawą przed Prusakami wieściła maleństwu nieśmiertelne prawdy. Szkoła średnia bez książek (nie wolno było sprowadzać z Warszawy) biedna, ale mimo braków mająca wielką dostojność. A dziś szkolnictwo polskie wydaje całe szeregi pokolenia nowego, świadomego celu, i gotowego do walki, a uniwersytet, na którym wykładają bardzo dobre siły profesorskie, przygotowuje młodzież do spełniania obowiązków. Do rozszerzenia polskości przyczynia się scena — tak teatru polskiego pod dyr. Rychłowskim, jak teatru im. Syrokomli i opery pod dyr. Cepnikiem. Żydzi do niedawna bojkutowali scenę polską, ale obecnie od chwili decyzji ententy zaczynają chodzić do teatrów polskich, — zrozumieli bowiem, że idea wielkiej Litwy, lub poprostu Wielkiej Rosji to fikcja i że trzeba liczyć się z realnymi warunkami.

A warunki realne są takie, że Polska nie tylko dzięki bardzo silnemu procentowi Polaków ma prawo do Wileńszczyzny, nie tylko dzięki czynowi Żeligowskiego stała się panią b. Litwy Środkowej, ale i ententa musiała ziemię krwią polską zroszone uznać za integralną część Rzeczypospolitej.

To samo zaczynają rozumieć i Białorusini, — a muszą zrozumieć, jeśli na serjo traktują sprawę swego narodu; — białoruskość ma jedyne oparcie tylko w Rzplitej, która musi być Rzplitą narodów, jak to przed

wiekami było i jak to bardzo mądrze przypomniał marszałek Foch Innego wyjścia ani dla Rzplitej, ani dla Białorusinów nie może być, bo muszą się oba narody liczyć z ewentualnym rewanżem Moskwy. Litwini przedstawiają tak znikomą procent ludności, że nie odgrywają żadnej roli w momencie obecnym.

Prasa wileńska, mimo wielkich usiłowań, przedstawia się w porównaniu a prasą warszawską, poznańską bardzo słabo. Wina to prasy, która społeczeństwa wileńskiego nie nauczyła odczuwania potrzeby czytania gazet, ale także i społeczeństwa wileńskiego, które usiłowań jednostek, żeby stworzyć prasę o wyższym poziomie, nie popiera.

Mądrość Rządu polskiego musi przeprowadzić współżycie narodów. Jest to boleską b. Galicji Wschodniej, a także i prowincji północno wschodnich. Nie przeczymy, że uświadomienie Białorusinów w porównaniu z galicyjskimi Ukraińcami bardzo jest niskie, ale zaczyna ono się tworzyć, i niesumienni agitatorzy będą błędy naszych powiatowych kacyków wykorzystywać i budzić wrogi państwu polskiemu ruch białoruski. Katolicy Białorusini mają więcej skłonności do polskości niż prawosławni, łączy ich z nami religja i alfabet łaciński, prawosławni zaś, używający grażdanki, są bardziej od nas odrębni. Mądry rząd powinien tam, gdzie trzeba oprzeć się na ruchu białoruskim (Nowogródzkie), wyzyskać zaczątek idei białoruskiej i przygotować dla dobra obu narodów podłoże odrębności ludu białoruskiego od Moskwy, a wytwarzać dlań właściwe warunki rozwoju w Rzplitej, która będzie opiekunką i krzewicielką aspiracyj kulturalnych Białorusinów. Bez ramienia opartego o Dźwinę będziemy się dusić, napierani przez Niemców i Rosję, — musimy przeto w Wilnie stworzyć warunki do rozwoju także i ruchu białoruskiego, który piastując wielkie, szczytne idee Czeczota i Mickiewicza będzie naszą ostoją w walce z zaborcą północy. Łudzić się nie możemy, że do konfliktu z Moskwą nie przyjdzie. W tej walce wolimy nie być osamotnieni — i na południu musimy *volens nolens* stworzyć warunki zgodnego współżycia z Ukraińcami, na północy zaś, jeśli chcemy władać ochronnym systemem rzek broniących granic Rzplitej, musimy ukrócić fałszywą politykę — i trzymać się drogi demokratycznej.

W tym świetle rozważać trzeba autonomię Wileńszczyzny. Można celowo zapominać o niej, ale wcześniej czy później zemści się to na nas; nie można uprawiać polityki strusiej, ale właśnie dla dobra kultury polskiej przez mądrą decentralizację dążyć do skupienia różnorodnych prowincyj. Hasłem naszym polskiem i teraz musi być — „za Waszą i Naszą wolność”. Nacjonalizm nie może zrozumieć tej nielogicznej logiki — ale ludzie, dla których *Salus Reipublicae suprema lex*, będą się kierowali hasłami rewolucjonistów polskich i mądrością Pił-

sudskiego, którego myśl wybiega poza chwilę bieżącą i dąży w przyszłość. Ta przyszłość zaś to Polska silna z Wilnem i Lwowem, złączonymi z Rzeczypospolitą węzłami nierozzerwalnymi, bo zgodą z naszymi współobywatelami mówiącymi po białorusku i ukraińsku.

Wilno musi być polskiem, jak nim jest,—ale oprócz tego powinno spełniać misję szerzenia kultury polskiej na północny wschód. Myśl polityczna Rzplitej musi iść stanowczo w kierunku ideologii S. Bato-rego, założyciela uniwersytetu w Wilnie, — którego politykę złamali jezuici i opór możnowładców.

Błędów historycznych nie wolno nam powtarzać.

PRZEGLĄD

PRZEGLĄD POLITYCZNY

(T. H.) Wybory do Sejmu obecnego stanowią początek nowego okresu w życiu wewnętrznym Polski.— Okresu normalnej pracy państwowej na podstawie uchwalonej Konstytucji. Normalne czasy — spokojniejsze czasy, gdy nie tak już łatwo życie polityczne skierować do nowego łożyska.

Uświadamiały to sobie wszystkie stronnictwa polityczne, to też energicznie szykowały się do wyborów.

Najlepsze jednak przygotowanie do wyborów wykazała N-Demokracja. Nic dziwnego; od chwili powstania państwa polskiego, poczynawszy od rządu ludowego w Lublinie, była ona w opozycji. Uświadamiała sobie, że jeśli nie zdobędzie większości w pierwszym normalnym Sejmie, skazaną zostanie coraz bardziej na wegetację, na rolę rojalistów we Francji, lub nacjonalistów w Niemczech, gdyż im dalej tym większe będzie uświadomienie mas ludowych.

Trzeba przyznać, iż N-Demokracja doskonale przeprowadziła wybory—wyzyskała świetnie wszystkie atuty. Potrafiła pod swoim protektoratem stworzyć wielki blok „ósemki“, a tym samym zagrać na tak ukochanym przez bezkrytyczne, politycznie niewyrobione społeczeństwo hasło jedności narodowej. Zaprzęgała do swego rydwanu wyborczego dwie takie potęgi agitacyjne jak klerykałizm i antysemitizm, przy pomocy których zniewoliła ciemne masy ludowe do głosowania na wodzów polskich przemysłowców, bankowców i wielkich właścicieli ziemskich. Od tych ostatnich potrafiła uzyskać miljardy na wyборы, obiecując im dać wzamian władzę do rąk.

A z drugiej strony stanęła do wyborów lewica — rozbita, powaśniona, pozbawiona środków materialnych. Jakże bajecznie ułatwiała sytuację „ósemce“ zaciekała, pełna wzajemnej nienawiści walka pomiędzy „Piastem“ i „Wyzwoleniem“, lub brak porozumienia pomiędzy N. P. R. a P. P. S. Zdrowy

rozsądek dyktował, żeby N. P. R. poza Łodzią, Zagłębiem, Częstochową wogóle w b. Królestwie nie wystawiała swych list, a P. P. S. by wyrzekła się kandydowania w Poznańskim i na Pomorzu, poza paru okręgami, jak Poznań i Gniezno.

To wzajemne wchodzenie sobie w drogę, ten brak jakiegokolwiek wzajemnego porozumienia kosztował lewicę co najmniej kilkanaście mandatów.

Ponadto osłabił jej siły „blok mniejszości narodowych“. Blok ten był absurdem społecznym, gdyż połączył na jednej liście przedstawicieli żydowskiej i niemieckiej burżuazji z przedstawicielami ukraińskiego i białoruskiego włościaństwa, które winno było w imię swych politycznych i społecznych interesów iść w porozumieniu z polską demokracją. Jeśli stało się inaczej świadczy to źle również i o lewicy polskiej, która lekceważyła sobie narodowy ruch białoruski i ukraiński, przeciwstawiając mu listę № 22.

Pomimo to wszystko Narodowa-Demokracja poniosła klęskę wyborczą.

Polskie stronnictwa lewicowe, włączając i „Piast“, zebrały około 4 miliony głosów, gdy lista № 8 wspólnie z Centrum Polskim zebrały ich 2,800000, czyli przeszło o 1 milion głosów mniej od stronnictw lewicowych.

Jeżeli jednak pomimo to prawica uzyskała prawie tę samą liczbę posłów, bo 169 na 184 lewicy — to tłumaczy się to w pierwszym rzędzie rozbiciem i zwalczaniem się stronnictw lewicy, z drugiej strony niesprawiedliwą ordynacją wyborczą, która nie pozwalała blokować poszczególnych list, a z list państwowych zrobiła premję dla najliczniejszych ugrupowań.

W ten sposób prawica znalazła się w Sejmie znowu w mniejszości, znowu zajrzało jej w oczy widmo wiecznej, bezpłodnej opozycji.

Zaczęto szukać ratunku. Zrazu szukano tego ratunku w rzuceniu się w objęcia „Piastowców“, wczorajszych „dojlidziarzy i koniokradów“, — a gdy to zawiodło, gdy został wybrany męczeńskiej pamięci Narutowicz na Prezydenta Rzeczypospolitej, wystąpiły na scenę żywioły, które w drodze rewolucyjnej postanowiły zdobyć władzę. Wypadki 11 grudnia, próba zerwania Zgromadzenia Narodowego i niedopuszczenia Prezydenta do przysięgi — były nowym zamachem ze strony prawicy.

Pamiętne dni grudniowe, gdy wypadki tak szybko goniły jedno drugie — było to tragiczne zmaganie się polskiej reakcji z polską demokracją.

I tak jak nie ostała się Rada Regencyjna wraz z rządem Świerzyńskiego w walce z rządem Lubelskim, jak w śmieszne błaźństwo obrócił się zamach Sapiehy na rząd Moraczewskiego, tak spalił na panewce i zamach grudniowy, który byłby tak samo śmieszny jak i zamach Sapiehy, gdyby nie został obarczony niebyszałą zbrodnią Niewiadomskiego.

Zamach ten ujawnił całą niemoc duchową polskiej reakcji.

Zdecydowany spokój i powaga Narutowicza, zjawienie się garści robotników P. P. S.-ców na placu Trzech Krzyży, było to wystarczające, aby N-Demokracja cofnęła się i wyparła się tych, których sprowadziła pod Sejm.

Lewica, niezorganizowana i powaśniona, — czemu dała niedawno wyraz walcząc o kandydatury Narutowicza i Wojciechowskiego w pierwszym Zgromadzeniu Narodowym — odniosła zwycięstwo, bo wykazała jedną wielką zaletę moralną: odwagę. Wybór Wojciechowskiego temi samemi głosami co Narutowicza, był godną odpowiedzią na prawicowe teorie polityczne poparte zbrodniczymi kulami Niewiadomskiego. Narodowa-Demokracja pokornie stawia się gremjalnie na zaprzysiężeniu Wojciechowskiego — i daje dowód, co naprawdę myśli o swoich hasłach i teoriach.

Czteroletnia opozycja N-Dem. wobec rządów, które po kolei przychodziły, przerodziła się wreszcie w opozycję wobec samego państwa. Partja ta gotowa była podeptać Konstytucję, rozpętać burzę wojny domowej, byle osiągnąć władzę byle powstrzymać proces demokratyzacji państwa polskiego.

Obóz demokratyczny, z męki i pracy którego powstało państwo polskie, i tym razem, gdy w grę wchodziło dobro państwa polskiego, odparł te ataki z nadzwyczajną łatwością, gdyż odrazu stał się jednolitym, a tym samym niezwyciężonym. W momencie przełomowym lewica polska daje dowód, ile w niej tai się siły żywotnej, zdrowia moralnego, energii i rozmachu.

Ale tylko w chwilach krytycznych i przełomowych.

Gdy atak reakcji zostaje odparty, życie wzburzone wraca do swego łożyska, pryska łączność obozu demokratycznego. Zaczynają się wewnętrzne swary domowe. I gdy obserwuje się działalność w Sejmie „Piasta“ i „Wyzwolenia“ nie trudno zauważyć, że pod względem społecznym w jednym i drugim ugrupowaniu znajdują się żywioły spokrewnione, że po odpadnięciu pewnej ilości posłów z jednej i drugiej strony mogłoby powstać jednolite chłopskie stronnictwo.

Kluby ukraiński i białoruski, pod względem społecznym i politycznym wybitnie demokratycznie, wykazują przerażający brak wyrobienia politycznego i niezrozumienie konieczności zbliżenia się z polską demokracją.

Żydów w Sejmie do lewicy zaliczyć nie można, gdyż pod względem społecznym, który w Sejmie obecnym siłą rzeczy wysuwa się na plan pierwszy, są elementem wyraźnie burżuazyjnym i reakcyjnym.

Wszystko to sprawia, że Sejm, jest rozbity i nie posiada wyraźnej większości. Tą większość stałą winny były stworzyć te same kluby, które wybrały Narutowicza i Wojciechowskiego. Większość ta składałaby się z 184 t. j. więcej niż połowy posłów polskich i z przeważnej ilości posłów mniejszości narodowych, — razem około 270 posłów.

Większość ta byłaby zdrową i korzystną dla państwa polskiego, gdyż wciągałaby do państwowotwórczej pracy i odpowiedzialności także i mniejszości narodowe, wbrew którym nie można rządzić Polską na dalszą metę, gdyż stanowią $\frac{1}{3}$ ogółu ludności państwa polskiego. Niestety większość ta jest niemożliwą.

Po pierwsze rozbity i poważnioną, jak już wspominałem, jest polska demokracja. Mniejszości narodowe niedojrzały niestety do udziału w rządach, prowadzą opozycję wobec całego narodu polskiego, traktując go jako całość rzekomo wrogo wobec nich usposobioną. Rządzić zaś Polską mogą te ugrupowania, które chcą jej potęgę, szczęścia i rozwoju.

Gdy piszę te słowa rokowania pomiędzy „ósemką“ a Piastem są w pełnym toku. Niewiadomo jak się skończą. Osobiście nie wierzę w ich pomyślny rezultat, i sędzę, że gdyby nawet została tą drogą stworzona większość parlamentarna, krótki byłby jej żywot. Pomimo wszystko zbyt sprzeczne są interesy klasowe ziemian, którzy stanowią jeden z filarów prawicy, i nawet bogatych chłopów reprezentowanych przez Witosa. Z drugiej strony dojście do władzy N — Demokracji rozpętałoby w Polsce apetyty klas posiadających, pragnących w tym celu ograniczyć prawa ludu; wywoła to ostrą walkę przeciwko Piastowcom, jako sprawcom tego nieszczęścia — i w rezultacie może skończyć się likwidacją tego stronnictwa na rzecz Zw. Lud. - Narodow. i Wyzwolenia. Rozumieją to ci Piastowcy, którym żądza władzy nie zamyka oczu na rzeczywistość — a którzy stanowią poważną opozycję w łonie tego stronnictwa.

Dojście do władzy ósemki po plecach Piastowców miałoby nieobliczalne

skutki dla Polski. Rozpoczęta przez rząd obecny praca, która — najkrytyczniej nawet rozpatrywana — daje rezultaty większe niż praca wszystkich dotychczasowych rządów, jakie od chwili ukończenia wojny istniały, zostałaby przerwana. Powaga nasza zagranicą, utwierdzona uznaniem granic wchodnich, znów zostałaby zachwiana; sanacja finansów zostałaby zamącona nowymi próbami; poprawa administracji, która choć złotym krokiem — jednak posuwa się naprzód, padłaby ofiarą apetytów na posady protegowanych nowej większości. Zapanałoby natomiast coś, co z państwowego punktu widzenia jest fikcją, bo żadnego wspólnego programu państwowego nie posiada, a zgodzić się jedynie może na punkcie wzajemnych ustępstw co do dziedzin eksploatawania bogactwa narodowego, na punkcie wspólnego pasożytowania na szkodę państwa. Rozpętałyby się walki polityczne wewnątrz społeczeństwa polskiego, a powstały w ten sposób rząd byłby z natury rzeczy w stanie otwartej i zażartej walki z mniejszościami narodowymi. W rezultacie rząd taki długo nie mógłby istnieć.

Wobec tego wszystkiego raczej trzeba przyjąć, że i prawicowa większość nie dojdzie do skutku.

Cóż więc pozostaje?

Pozostaje rząd pozaparlamentarny mający oparcie w tych samych mniej więcej stronnictwach, które wybrały Prezydenta Wojciechowskiego i udzieliły votum ufności rządowi obecnemu. Rząd ten ma rację bytu, jako rząd konieczności państwowych. Wówczas, gdy rząd „ósemki“ i Piasta wywołałby ostrą walkę polityczną, i jako reprezentant nie skoordynowanych między sobą egoizmów stanowych musiałby żyć kosztem państwa, usuwając na plan drugi właśnie te konieczności państwowe, — rząd pozaparlamentarny może pracować. A mamy wiele do zrobienia rzeczy, których konieczność nie wywoła niczych sprzeciwów, i dla których rozwiązanie rząd większość mieć będzie. Musimy uzdrowić skarb, przeprowadzić reorganizację administracji, załatwić sprawę wyznań i mniejszości narodowych, wprowadzić w życie konstytucję 17 marca, ujednolicić statuty samorządowe dla całej Polski, podnieść oświatę i t. p.

Jeśli obecny Sejm nie może wyłonić stałej i trwałej większości o zdecydowanym programie, niech pozwoli działać rządowi, załatwiającemu i realizującemu takie zagadnienia, których znaczenie, jako konieczności państwowych, odczuwają wszyscy. Nie daj Boże takiej szarpaniny, jaka panowała w Sejmie Ustawodawczym, gdzie wciąż stronnictwa dążyły do władzy i wzajemnie ją sobie z rąk wyrwały.

Po załatwieniu konieczności państwowych, wprowadzeniu w życie i utrwaleniu zasad konstytucji 17 Marca, co zajmie kilka lat, mogą przyjść nowe wybory do Sejmu pod hasłem stworzenia zdecydowanej większości o wyraźnie określonym programie, realizacja którego wymagać będzie dziesiątek lat.

A trzeba wierzyć, że do nowych wyborów lewica polska pójdzie lepiej zorganizowana i bardziej solidarna, aniżeli to miało miejsce przy obecnych wyborach.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ

(h) UWAGI WSTĘPNE.

Polityka zagraniczna, mimo pozorów przeciwnych, w stopniu silniejszym od wewnętrznej ujawniać musi cechy stałości. Dzieło napozór jednostki, jak żadne inne w stosunkach międzynarodowych, nieraz po prostu kaprys jednost-

ki rozpatrywany w całości wykazuje zazwyczaj ciągłość i konsekwencję, jeżeli wogóle jest polityką t. j. działalnością w interesie państwa.

W polityce bowiem zewnętrznej do głosu przede wszystkim dochodzą muszą te pierwiastki życia państwowego, które z natury swego charakteru są najmniej podległe przypadkom. Jeżeli nie można mówić o *koniecznościach* polityki zewnętrznej, to jednak nie sposób nie spostrzec naturalnych tendencji jej rozwoju, tendencji niezależnych od ludzi, od wpływu czasu, od działania epoki.

Polityka zewnętrzna jest tą właśnie dziedziną, w której naród zorganizowany państwowo, występować musi, jako całość jednolita, t. j. jako jednostka naturalna, jaką jest państwo, niezależnie od świadomości jej elementu ludności. Państwo jest nie tylko całością naturalną, jest nadto całością żywiołową, kierującą się w swoim rozwoju wymaganiami swych podstawowych elementów: natury swego terytorjum i właściwości swego społeczeństwa. Najbardziej niezmiennie są warunki geopolityczne i konsekwencje, wypływające z tendencji rozwojowych terytorjum. One trwają bez zmiany od zarania istnienia państwa, aż po chwilę obecną, wpływają determinująco na jego postępowanie zewnętrzne, są czynnikiem pewnego pozaindywidualnego tworzenia się tej polityki. Mniej stałe, choć również dla życia poszczególnych pokoleń niezmiennie, są wpływy budowy społeczeństwa, jego ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego i jego potrzeb. Ulega ona przekształceniu, w toku wieków zmienia całkowicie postać lecz i w tej zmienności jest *ewolucyjną*, posiada wewnętrzną głębszą linię stałego kierunku, pewną sumę zbiorowych właściwości psychicznych, w których z pokolenia w pokolenie przekazuje się niezmiennie skłonność ku określonemu układowi pierwiastków polityczno - społeczno - gospodarczych. Tendencje geopolityczne i ustrojowe (najszerzej rozumiane) są źródłem koniecznej stałości w polityce zewnętrznej państwa, lecz nie wystarczają ani dla jej wyrozumienia, ani tembardziej dla jej pokierowania.

Przedewszystkiem — dlatego, że każde terytorjum i każde społeczeństwo, jak każdy organizm żywy, podlega równocześnie działaniu szeregu nieraz rozbieżnych tendencji i że będąc organizmem naturalnym jest zarazem wielką całością psychiczną złożoną, lecz zdolną do psychicznego regulowania swego życia. Powtóre, i to jest zjawiskiem nie mniej istotnem, że obok danego państwa istnieją inne organizmy państwowe o podobnych niezmiennych właściwościach rozwoju, że tendencje życia państw pozostają w nieustającym wzajemnem zetknięciu, sprzeczności lub łączności, współzawodnictwie i walce, lub solidarności, że w powikłanym a zmieniającym się splocie międzypaństwowych tendencji wytwarzać się muszą nowe warunki, oddziaływujące na postępowanie *danego* państwa. Jako organizm psychiczny musi ono wybierać w każdej chwili drogę swego działania, uzgodnioną z zasadniczymi tendencjami swego rozwoju, lecz mieszczącą się w ramach ogólnych warunków międzypaństwowego życia, w ramach *możliwości* chwili.

I tu właśnie otwiera się pole dla działania indywidualnego kierowników polityki państwowej.

Działalność indywidualna sprowadza się do świadomego kierowania losami państwa na gruncie zasadniczych tendencji jego rozwoju i na podłożu tendencji rozwoju współczesnego świata międzypaństwowego. Rola *świadomości* jest zatem w tej działalności najbardziej istotną, i naprawdę ostatecznie decydującą. Od jasnego bowiem rozumienia sytuacji międzynarodowej w związku z pojmowaniem tendencji przyrodzonych własnego państwa zależy zarówno wybór zasad-

niczego *systemu*, jak i każdorazowego sposobu postępowania, słowem linja własnej polityki zewnętrznej. Obok jasnego i pewnego zrozumienia środowiska i sił materialnych oraz ideowych między państwami, obok znajomości konieczności (tendencji) i możliwości państwa własnego musi w działalności tej panować wyczuwanie chwili i zdolność chwytania momentu korzystnego w układzie ogólnym warunków, niezależnych od woli twórczej danego państwa. Oba te momenty: wybór pewnych tendencji w szeregu wielu i wybór momentu działania, oto—mimo determinizmu rozwoju stosunków zewnętrznych—*szeroła* sfera właściwej twórczości w polityce zagranicznej.

Wybór tendencji, wybór możliwości, zatrzymanie się na jednym momencie a odrzucenie innych, to wszystko są czynności subiektywne w najczystszej słowa znaczeniu, to wszystko są objawy wykraczające poza przedmiotowe tylko rozumienie rzeczywistości. Podstawą wyboru musi być ocena, oparta o stałą miarę, oczywiście nie jakąś miarę natury etycznej, lecz politycznej. Taką miarę, taki stały punkt wyjścia dla oceny zjawisk życia zewnętrznego dawać może tylko — *stała ideologia* w dziedzinie polityki zewnętrznej, stały system ideologiczny.

Odpowiednik tendencji geopolitycznych i ustrojowych państwa, konkretyzowanych w określonym czasie przez dane pokolenie, jest on częścią ogólnego systemu ideałów, ku którym pokolenie to usiłuje porwać naród i państwo własne. Pamiętać należy, że w życiu państwa istnieje najistotniejszy związek i wzajemne oddziaływanie zagadnień jego rozwoju zewnętrznego i wewnętrznego i że takie same szarmonizowanie istnieć musi pomiędzy wewnętrznym i zewnętrznym programem działania narodu. Różnica jedyna polega, może, na tem, że w polityce zewnętrznej, obciążonej większą odpowiedzialnością, związanej silniej z pierwiastkami jednoczącymi całość narodową, determinowanej tendencjami jakgdyby ponadindywidualnymi, że w ideologii zewnętrznej panuje mniejsza dowolność wyboru koncepcyj, niż w polityce wewnętrznej. Istnieje w niej mniej dróg indywidualnego rozwiązywania zagadnień państwa: kiedy w zakresie polityki wewnętrznej otwiera się możność tworzenia szeregu programów, a zatem powstawania szeregu stronnictw, w polityce zewnętrznej—może być mowa tylko o wielkich kierunkach politycznych, kiedy w polityce wewnętrznej szuka się rozwiązań, odpowiadających przede wszystkim interesom poszczególnych grup lub warstw społecznych, w polityce zewnętrznej znajdują odbicie jedynie koncepcje rozwoju całości, narodu, zorganizowanego w państwo.

Wartość systemu polityki zewnętrznej będzie oczywiście tem większa, im mniej podlega on, jako taki, wahanom w zależności od chwilowych posunięć praktycznych. A ta jego obronność na oddziaływanie chwili—nie życia—będzie tem większą, im bardziej opiera się on na istotnej znajomości tendencji rozwoju świata *spółczesnego* i *odwiecznego* rozwoju własnego. I tu tkwi właściwie źródło różnicy pomiędzy kierunkami, czy ideologiami polityki zewnętrznej.

Staość i powszechność ideologii zewnętrznej posiadać winna zatem w wychowaniu politycznym narodu znaczenie pierwszorzędne, właśnie w wychowaniu narodu. Zespolona z ideologią wewnętrzną staje się ona w polityce wielkich kierunków Zachodu (Ameryki, Anglii, Francji) podwaliną, na której wyrosnąć ma nowa moralność społeczna, i potężnym środkiem odrodzenia ludzkości, skrzywionej przez wojnę. Oderwana od przemijających sporów chwili i zabarwienia jednostkowych ambicji może i musi w naszym narodzie odegrać taką samą rolę. Lecz na to musi być ideologią, opartą na wiedzy!

PRZEGLĄD PRACY SPOŁECZNEJ

W dziale niniejszym umieszczać będziemy syntetyczne informacje oraz refleksje na temat prac dokonywanych przez związki, stowarzyszenia i instytucje społeczne o charakterze kulturalno-wychowawczym. Jesteśmy przekonani, że odrodzenie narodowe w ogromnym stopniu zależy od rozwoju i dorobku tego rodzaju właśnie warsztatów pracy. Pragniemy, by czytelnicy „Drogi” stopniowo zapoznawali się z wszelkimi gałęziami tej pracy i dla siebie stąd czerpali dyrektywy. Zwracamy się do wszelkich organizacji i zrzeszeń, począwszy od gospodarczych i oświatowo-kulturalnych a skończywszy na zawodowych, literackich i artystycznych, o nadsyłanie nam sprawozdań o charakterze zrzeszenia oraz o ważniejszych jego poczynaniach.

(Red.).

S. Boguszewski: ORGANIZACJE SPOŁECZNE NA WSI, RZĄD I SAMORZĄD WIEJSKI.

Rolnicy stanowią w Polsce przeszło 70% ludności i jako ci, na barkach których spoczywa ciężar dostarczania środków żywności dla całego ogółu ludności, winni budzić zainteresowanie powszechne. Jednak wskutek 1) większego niż wśród innych warstw odosobnienia, 2) braku przyzwyczajenia do działania zbiorowego, wywołanego nawykniem prowadzenia gospodarstwa na własne ryzyko, 3) niskiego poziomu umysłowego przeważnej części rolników, oraz całego szeregu innych przyczyn, rolnicy nie potrafili w tej mierze zainteresować opinii publicznej, jak to zrobili dajmy na to robotnicy, przemysłowcy lub kupcy.

A jednak w naszych warunkach sprawy związane z rozwojem produkcji rolnej stanowić mogą kwestję bytu państwowego i przyszłego rozwoju państwa.

Nie mówimy tutaj o większej własności ziemskiej, która w przeważnej części związana z wielkim przemysłem niejednokrotnie traci z oczu interes rolniczy,—lecz wyłącznie ze stanowiska drobnego rolnictwa, które stanowi przeważny odsetek całego rolnictwa i w rozwoju którego leży interes państwa.

Celem każdej pracy społecznej jest podniesienie danej warstwy ludności do wyższego poziomu kultury, co w rezultacie prowadzi do możliwości zaspakajania w jak największej mierze potrzeb kulturalnych ciała i ducha. Mówiąc o potrzebach „kulturalnych” ciała, wykluczamy pojęcie nadużycia w tej dziedzinie, jak się to samo przez się rozumie. Ponieważ podniesienie poziomu kulturalnego zależne jest w pierwszym rzędzie od rozwoju umysłowego, przeto na pierwszym miejscu w pracy społecznej postawić musimy zagadnienia oświatowe.

Jesteśmy jednym z najbardziej upośledzonych pod tym względem państw. Analfabetyzm u nas jest nieomal powszechny, przyczem liczyć się musimy z tem, iż nawet jaknajusiłniejsze zwalczanie analfabetyzmu wśród dorosłych nie usunie zła, gdyż wobec trudności finansowych jeszcze przez szereg lat będziemy skazani na traktowanie powszechnego przymusowego nauczania jako pobożne życzenie. Stąd też konieczność trwałej wieloletniej pracy nad oświatą pozaszkolną. W związku ze zwalczaniem analfabetyzmu występuje sprawa czytelnictwa, bez którego walka z analfabetyzmem staje się czczą formą nie wypełnioną treścią.

Równorzędnie z czytelnictwem powstaje zagadnienie zapoznawania się z otoczeniem, a więc ze zjawiskami życia zwierzęcego i roślinnego, z działaniem sił przyrody, a obok tego z ustrojem życia zbiorowego, a więc z ustrojem politycznym i gospodarczym.

Są to wszystko zagadnienia przygotowujące grunt do poznawania, rozwiązywania i rozwiązywania zagadnień specjalnych, zawodowych, które w dziedzinie rolnictwa są nie mniej różniczkowane, aniżeli w przemyśle lub handlu — z tą jednak różnicą, że, gdy kupiec czy przemysłowiec czy robotnik specjalizuje się w pewnej części zagadnień handlowych lub przemysłowych, rolnik tylko wyjątkowo może być specjalistą w uprawie roślin lub hodowli zwierząt, będąc zmuszony do ogarniania całości pracy na roli z bardzo szerokim uwzględnieniem koniunktury handlowych, przemysłowych, a nawet i politycznych.

Jako więc dalszy czynnik, wpływający na podniesienie poziomu kultury wśród ludności rolniczej, występuje nauka rolnictwa i hodowli z zastosowaniem prób, pokazów i doświadczeń nad podniesieniem produktywności ziemi i wydajności pracy, a w konsekwencji zwiększenie wydajności roli z jednostki uprawnej.

W zakresie zwiększenia wydajności roli u nas jest bardzo dużo do osiągnięcia. Jednostka powierzchni uprawnej daje u nas zaledwie połowę tego co osiągnięto na zachodzie, możemy przeto przez zwiększenie wydajności ziemi nieomal podwoić ilość wytwarzanych środków żywności bez rozszerzania terenów uprawnych.

Do czuwania nad rozwojem kultury w pierwszym rzędzie powołane jest państwo, które, regulując życie zbiorowe za pomocą ustaw i czuwając nad ich wykonywaniem przez władze państwowe zapewnić winno równomierny rozwój poszczególnym warstwom społecznym i niedopuszczyć do zbytnej przewagi jednej warstwy nad inną, co w następstwie mogłoby doprowadzić do rewolucji. Jako organizacja pomocnicza powołana do regulowania zagadnień zbiorowego życia gospodarczego występuje samorząd już nie jako władza ustawodawcza, lecz jako organizacja działająca na mniejszym lub większym terytorjum lub w takiej czy innej dziedzinie życia gospodarczego, w ramach określonych przez ogólne ustawy.

Lecz ani państwo z całym aparatem ustawodawczym i rządzącym, ani samorząd ograniczony do pewnej dziedziny życia lub pewnego terenu nie jest w stanie podjąć wszelkim zagadnieniom, wynikającym ze stosunków pomiędzy ludźmi w ich życiu zbiorowym, ani też obejść się bez czynnego współdziałania jaknajszerszych warstw samego społeczeństwa.

Jeśli byśmy mogli przypuścić choć na chwilę, iż w państwie cała ludność jest zajęta wyłącznie swymi osobistymi sprawami, pracą zaś nad podniesieniem kultury zajmuje się wyłącznie aparat państwowy lub samorządowy, to w konsekwencji musielibyśmy zobaczyć karykaturę państwa i wysiłków paruset tysięcy ludzi, dźwigających na swych barkach cały ciężar nauczania, utrzymania porządku, a nawet przeżywania ludności i t. p., wreszcie zupełny krach na wypadek wojny, gdyż interes całości nie obchodziłby zgoda tych, którzy do obrony Państwa byłiby powołani. Doskonałym tego przykładem była Austria, w której wojsku czasu ostatniej wojny sprawa zwycięstwa nie odgrywała najmniejszej roli, nie była bodźcem dla wzmożenia wysiłku.

Jedynie praca wszystkich grup społecznych, chociaż pozornie zmierzająca w różnych kierunkach, może podnieść państwo na odpowiedni poziom kulturalny, może każdego obywatela zrobić częścią czynną organizmu państwowego.

O ile zagadnienia te w stosunkach miejskich nie sprawiają dużej trudności ze względu na łatwiejszy dostęp do ludności bardziej skupionej i bardziej do życia zbiorowego nawykłej, o tyle na wsi dla przyczyn na początku podanych wszelka praca nad uobywatelnieniem ludności nad wprowadzeniem go w orbitę zainteresowań sprawami państwowymi jest nader trudna.

Organami państwa, które najgłębiej na wieś sięgają, są z jednej strony nauczyciele szkół powszechnych, u nas bardzo nieliczni, z drugiej zaś policjanci, którzy są wyłącznie zajęci utrzymaniem ładu i porządku, nie są zaś propagatorami kultury i ideowości.

Samorząd, zajęty sprawami komunikacji, zdrowotności, opieki społecznej, a zmuszony do skupienia swych wysiłków na sprawach zdobycia pieniędzy wobec nieuregulowanych źródeł dochodu nie jest w stanie podołać przy pomocy bądź swych pracowników bądź członków tym wszystkim zadaniom, które na nim ciążyą. Tem mniej może się zająć sprawami tak zawiłymi jak podniesienie produkcji rolnej, którą zacząć trzeba od zwalczania analfabetyzmu.

I tu właśnie rozpoczyna się rola organizacji społecznych.

Organizacje te 1) nie noszą charakteru przymusu, co jest nieodłącznie związane z organizacją państwową lub samorządową, 2) dają możliwość zrzeszonym oddziaływać na bieg spraw w znacznie większej mierze aniżeli w organizacji państwowej lub samorządowej, 3) kierowane są przez siły fachowe, wyspecjalizowane, czego nie można powiedzieć ani o wszystkich kierownikach organizacji państwowych, ani tymbardziej — samorządowych, 4) przez samą przynależność ludzi do tych organizacji wyrabiają w nich współodpowiedzialność za sprawy dotyczące pewnej zbiorowości, 5) jako jednoczące ludzi dla wspólnego celu wykluczają możliwość podejrzewania o podleganie wpływom ubocznym, a przeto budzą większe zaufanie i usuwają destrukcyjny moment podejrzliwości, wreszcie 6) pociągają do pracy szerokie warstwy ludności budząc w nich zainteresowanie ściśle związane z ich zawodem, a więc oparte na najtrwalszym czynniku: interesie osobistym każdego z nich.

Dodać by tutaj można i to, iż w pewnej mierze pobudzają one ofiarność publiczną i w wielu wypadkach finansowane są przez samych zrzeszonych. Ten ostatni punkt należy jednak nieco szerzej omówić, gdyż niejednokrotnie się słyszy o zbieżności organizacji społecznych z powodu tego, iż wśród zrzeszonych nie ma zrozumienia potrzeby istnienia danej organizacji, wskutek czego ciężar utrzymania instytucji spada na państwo. Istotnie są takie wypadki, iż państwo lub samorząd nieomal całkowicie utrzymuje instytucję społeczną, lecz czyż w istocie ten brak funduszy własnych jest objawem zbieżności instytucji? Czy nie jest to dowodem opłakanego stanu oświaty i kultury?

Zarzut ten odnosi się jedynie do organizacji służących wyłącznie interesom uboższych warstw ludności a w szczególności rolników, gdyż warstwy zamożniejsze potrafią utrzymać swe instytucje bez pomocy rządu lub samorządu. Natomiast interesem wszystkich warstw społecznych jest podniesienie poziomu kulturalnego warstw mniej zamożnych lub mniej uświadomionych, tak ze względu na wydajność ich pracy, z której żyjemy wszyscy, jak ze względu na zdrowotność, której zaniedbanie może się odbić ujemnie na wszystkich, jak wreszcie ze względu na mocarstwowe stanowisko Polski, o które musimy dbać wszyscy. Stąd też krótkowzroczną byłaby polityka działaczy państwowych lub samorządowych, gdyby powołując się na brak zrozumienia potrzeby, a nie posiadając ani odpowiednich zasobów pieniężnych, ani dostatecznie wykwalifikowanych sił do prac zmierzających ku podniesieniu kultury, ograniczali instytucje i organizacje społeczne w uzyskiwaniu zasiłków państwowych i samorządowych na cele społeczne, gdyż w ten sposób utrzymywaliby kraj na dotychczasowym poziomie kultury.

(A. SK.) Z RUCHU RELIGIJNEGO

Mimo pozorów zdających się świadczyć przeciwnie, — mimo przymiotników „chrześcijański“ „katolicki“ dodawanych do nazw partyj i stowarzyszeń, a nawet zakładów i sklepików, życie religijne bije u nas słabym tętnem. Hasła religijne rozbrzmiewają szeroko — ale przedewszystkiem w sensie negatywnym, jako hasła walki z takimi czy innymi, „wrogami religii“, którzy po największej części w gruncie rzeczy są tylko przeciwnikami politycznymi czy społecznymi obozu hasła te rzucającego.

Ta negatywność hasła panuje zresztą nie tylko po stronie prawowiernej, lecz i po stronie „nowatorów“, u których również hasła walki czy polemiki z „Rzymem“ przyćmiewają pracę i uczucia pozytywne.

Nowatorski ruch religijny na większą skalę u nas nie istnieje. Nie ma w tym kierunku dotąd przynajmniej ani większych porywów masowych ani głębszego ruchu ideowego. Mimo to uważamy tę dziedzinę zjawisk społecznych u nas za bardzo ważną i będziemy starali się na przyszłość zapoznać się z nią bliżej. Na razie zanotować chcemy na tem miejscu niemal sam fakt istnienia w Polsce w tej chwili dwóch ognisk tego rodzaju ruchu. Jedno z nich istnieje w Łodzi i skupia się około tygodnika „Nowe drogi“, ma ono charakter ogniska ruchu wyłącznie ideowego. Drugie powstało w Krakowie, około pisma „Polska Odrodzona“, wykazuje ono tendencje w kierunku ruchu masowego i organizacji.

Myśl przewodnia grupy „Nowych dróg“ streszcza się w następującym zdaniu: „Ludzie współcześni szukają czegoś, co zadowoliliby ich uczucia, ich potrzeby estetyczne, a jednocześnie dawałoby poziom wyjałowionemu umysłowi. Trzeba się zgodzić, że chrześcijaństwo współczesne, zamknąwszy się naogół w rytualizmie i kultyzmie, nie zaspokaja religijnych potrzeb człowieka w tej mierze, jak ten człowiek tego potrzebuje. Dawniej, gdy każdy wierzący był powołany do głoszenia słowa bożego, gdy był obowiązany do troszczenia się o dobro kościoła, do którego należał, gdy żądano od niego, aby wiarę swoją wyraził czynami miłosierdzia i pracy dla szerzenia Królestwa Bożego, nie było wprost miejsca na taki indyferentyzm fatalny, jaki panuje w świecie chrześcijańskim obecnie“. — Pogląd powyższy, najgłębszy jaki znaleźliśmy w „Nowych drogach“, jest właściwie tylko punktem wyjścia dla dalszego myślenia czy budowania. Poza punkt wyjścia grupa łódzka zdaje się jednak dotąd nie wyszła.

Najpoważniejszą publikacją tej grupy są „Rozmowy z Bogiem“ K. W. Strzelca, próba modlitewnika. Najpiękniejszą stroną tej książeczki jest dążność związania modlitwy z życiem realnem, nawet potocznem — i wiara, pozwalająca zapewniać, iż „dostąpicie pewności, że Bóg z wami rozmawia“. To związanie z życiem podnosi ojczyznę i naród do wyżyn znaczenia religijnego: „Daj nam poznać, że dla nas jest świętsza woda Wisły, niż woda Jordanu“. „Aby zaczęto wierzyć, iż Polska cała jest jedynym sakramentem, w którym utajony jest żywy Chrystus“. — Są to myśli, które mogą mieć niesłychaną siłę potencjalną, podobną, jak ją miała wiara mesjanistów naszych w posłannictwo Polski, Chrystusa narodów. Niestety nie widzimy, ani w „Rozmowach“ ani w żadnej innej publikacji grupy łódzkiej, *pozytywnych* konsekwencyj takiego stanowiska.

Są tam tylko wnioski negatywne: „Nie gniewaj się na nas Panie! Wierzymy bowiem, że jesteś z nami na każdym miejscu, lecz, gdy potrzebujemy od Ciebie rady, idziemy po nią do Rzymu“. Autor wogóle w swych „Rozmowach“ na zbyt wiele rzeczy przed Bogiem wyrzeka: na nietolerancję, na interesowność kapłanów, na zbywanie „miłosierdziem“ braterstwa, na nadmiar świąt, na posty, i t. d. — tak, że chwilami modlitewnik robi wrażenie broszury polemicznej. Autor czuje to, więc mówi: „Otóż Boże drogi—powiedziałem ci to, o czym wiesz, a powiedziałem to dlatego, aby i ludzie o tem wiedzieli“. — Wogóle na modlitewnik odrodzonego religijnie człowieka — czy grupy „Rozmowy“ nie mają dość wysokiego poziomu duchowego, autor ich rozmawia ze sobą, z ludźmi — jeszcze nie z Bogiem.

Grupa druga, krakowska, pod względem ideowej dojrzałości stoi niżej od łódzkiej. Ma ona zato aspiracje przejścia w ruch masowy. Pismo jej „Polska Odrodzona“ chce być organem Kościoła narodowego. Próbuje ono określić istotę Kościoła narodowego i Kościoła powszechnego, stosunek wzajemny różnych kościołów chrześcijańskich, zajmuje się sprawami organizacyjnymi Kościoła narodowego, sprawami rytualnymi, a nawet dogmatycznymi, oraz stosunkiem kościoła i państwa. Wobec Rzymu Kościół narodowy stoi w zdecydowanej opozycji, organizację swą kościelną buduje na zasadach demokratycznych, na elemencie wyborczym i kolegialnym, zaprowadza liturgikę w języku polskim, stawia tezę rozdziału Kościoła i państwa. Podstaw do swych tez szuka w historii, w pierwotnym chrześcijaństwie oraz w tradycji różnowierstwa polskiego. Ton jakim przemawiają wyznawcy i propagatorzy Kościoła narodowego jest popularny i zbyt agitacyjno polemiczny, kosztem pogłębienia. Są oni jeszcze więcej społecznikami, daleko im do apostołstwa, bez którego nie masz nowych prądów religijnych.

Tak w łódzkim, jak i w krakowskim odłamie naszego ruchu religijnego uderzającym jest brak usiłowań nawiązania do najwyższych wzlotów naszej myśli religijnej, do Słowackiego i Mickiewicza. Powodem tego, jak się zdaje, jest po prostu brak znajomości ich pism.

KRONIKA MUZYCZNA

(L. S.) ZRZESZENIE MUZYKÓW. Zabierając się do poruszenia organizacji życia muzycznego u nas nie mam bynajmniej zamiaru występować z jeszcze jednym projektem organizacji, lecz zakreślam sobie cel skromniejszy przedstawienia przekroju dzisiejszego stanu rzeczy. Z tego zaś rzutu oka na chwilę dzisiejszą łatwo będzie wysnuć wnioski, które muszą uderzyć każdego, kto zbliży się do zrzeszeń zawodowych czy artystycznych naszych muzyków. Z konieczności ograniczam się do stosunków warszawskich.

Po chwałebnych wysiłkach z czasu rozbiorów i okupacji nastały dla nas we wszelkich dziedzinach warunki umożliwiające planową pracę organizacyjną. Przewycięzając przysłowiową apatię zakrzętnęli się także i muzycy dokoła swych potrzeb i zwołali w roku 1921 zjazd wszystkich muzyków polskich. Odrazu na zjeździe wyłonił się nawet kwestyj domagających się uregulowania, przyczym muzycy ujawnili wielki zasób inicjatywy w projektowaniu rozlicznego rodzaju ulepszeń we wszystkich kierunkach. Zdawało się wówczas, że budowa

potężnego gmachu polskiego życia muzycznego została rozpoczęta, a zapal jednostek pociągnie za sobą tłumy wykonawców i zjednoczy ich we wspólnym wysiłku.

Zjazd trwał aż trzy dni; po pracowitem, a zwłaszcza gadatliwym przepędzeniu tego czasu muzycy rozeszli się do domów—i pogrążyli w dawnej apatii. Rezultatem zjazdu stało się zjednoczenie Związków Muzyków w jeden blok i ...

I naraz wszystko ucichło. Sytuacja pozostała nadal ta sama, a zjednoczenie zawodowe, instytucja, która powinna centralizować wszystkich muzyków—wiedzie sobie suchotniczy żywot, złożona na barki kilku ludzi ideowych, którzy zdecydowali się oddać jej swój czas.

Niestety, Związek muzyków stał się instytucją o ściśle zawodowym charakterze; potrafi on redagować wspólnie z restauratorami i kelnerami protest przeciwko zamknięciu kilkuset knajp drugo- i trzeciorzędnych pod pozorem, że odbierze to zarobek grającym tam muzykantom. Protest ten, skierowany do Min. Skarbu jest w swym charakterze symptomatyczny. Związek muzyków nie ma czasu zajmować się uregulowaniem najbardziej palących spraw, dotyczących kultury muzycznej, ale muzycy grający po knajpach cieszą się zawsze jego gorącą opieką. Są też oni najliczniejszą grupą w Związku, który ulega ich wpływom. Poważniejsi zaś muzycy, ludzie kultury, albo zupełnie się usunęli, albo tylko od Związku odsunęli, co wreszcie na jedno wychodzi. Związek muzyków prowadzi tedy nadal politykę zawodową, walczy z orkiestrami wojskowymi, konkurencja których, jako nieobjętych klauzulami zawodowymi, jest dla nich szczególnie groźna, upominał się podczas stajku o otworzenie kinematografów i t. p.

Taktyką swą Związek chce naśladować popularny dziś Związek artystów scen polskich (ZASP), organizację pod każdym względem wzorową. Niestety, muzycy zapominają o tem, że poziom intelektualny członków „Zaspu“ jest poddany surowemu badaniu w formie egzaminu, że selekcja kandydatów na członków jest tam bardzo skrupulatną. Przedewszystkiem zaś „Zasp“ dba o „prestige“ swych członków i wyklucza tych, którzy zajmują się pracą w nieodpowiednim środowisku. To też naczelne stanowiska zajmują tam pierwszorzędni artyści, a Związek jest organizacją potężną, może nawet... trochę zańadto potężną. Taktykę „Zaspu“ zaczął więc naśladować Związek muzyków, biorąc niestety tylko jej formę, a nie zgłębiwszy treści. Zwrot ten był wynikiem dezercji członków Związku muzyków do „Zaspu“; zorganizowali się najpierw kapelmistrze, korzystając z tego, że pracują w teatrach, w odrębną sekcję „Zaspu“, później orkiestry teatralne—słowem wszystko, co było kulturalniejsze w Związku muzyków. Grono poważniejszych muzyków zorganizowało od dawna samodzielną sekcję muzyków pedagogów, reszta zaś dąży forsownie do zrobienia ze Związku muzyków instytucji o typie wyłącznie zawodowym, w gorszym tego słowa znaczeniu, t. j. wykorzystuje go wyłącznie dla swych celów materialnych.

Prawda, są w Związku muzyków poczynania jednostek, dążące do wprowadzenia na światło dzienne pewnych kwestyj zawodowych artystycznych. W bieżącym sezonie odbył się wielki koncert ludowy, o którym wspominałem w poprzedniej kronice. Przyniósł on dochód instytucji, ale że nie przyniósł dochodu poszczególnym jej członkom, więc po prostu nie przyszli oni grać, a organizacja nie mając w stosunku do nich żadnej egzekutywy, nic na to zaradzić nie mogła; grano więc utwory bez próby, nieprzygotowane, program skandalicznie dobrany z niezbyt wartościowych utworów, a drugiego koncertu za-

pewne nikt już organizować nie będzie — mimo że ludzie są i tylko trzeba umieć ich ująć w ramy karność organizacyjnej i zmusić do pomyślenia o czemś więcej niż zabieganie o kieszeń.

Drugim plusem, jaki przyniósł Związek muzyków, jest jedyne w Polsce czasopismo muzyczne „Rytm”. Redakcja poza stroną zawodową i organizacyjną uwzględnia w nim także sprawy zawodowo artystyczne. Niestety, poziom „Rytmu” jest b. nierówny bo niezdecydowany. Kilka działów stara się ogarnąć wszystkie dziedziny życia muzycznego, dając rzeczy błahe obok interesujących, ściśle fachowe obok rozważań i impresyj. Dział krytyczny, ilościowo słaby, nie może rościć sobie pretensji do reprezentowania opinii polskich sfer muzycznych. A przy dzisiejszym stanie krytyki muzycznej jest rzeczą konieczną śmiało zabranie głosu i wyjawienie tych skandalów, jakie się dzieją w prasie. Zrobić to może tylko organizacja zawodowa w swym organie. Ale dzięki wyżej podanym powodom protest taki ze strony muzyków nie wyjdzie, bo jest dla nich rzeczą nieinteresującą.

Po tem smutnem résumé działalności Związku zawodowego muzyków nasuwa się pytanie, czy po za tą ściśle zawodową instytucją nie istnieje w Warszawie żadna inna oparta na podstawach artystycznych, któraby uzupełniała ją swą działalnością. Organizacja taka istnieje, nazywa się „Towarzystwo muzyczne”. Niestety, z licznych celów określonych przez statut towarzystwa realizuje ono wyłącznie — dobrze prosperującą szkołę muzyczną. Na opinię muzyczną Warszawy Towarzystwo wpływu żadnego nie wywiera, do jej rozwoju w zakresie kultury muzycznej nie przyczynia się wcale, spoczywając w błogim śnie na laurach tradycji i obliczając dochody ze szkoły. Jedynie żywotną działalność rozwija sekcja im. Moniuszki, borykając się rozpaczliwie z brakiem gotówki i usiłując budzić w społeczeństwie kult dla imienia wielkiego pieśniarza Polski. Ale bezcenne zbiory pamiątek po Moniuszce i Karłowiczu nagromadzone są jedne na drugich w małym pokoiku, rękopisy marnieją niewydane z braku funduszy, a w wielu wypadkach nawet nieopracowane, skarby biblioteki leżą nieporuszone przez muzykologów, bo z powodu szczupłego pomieszczenia niemal niedostępne.

Naszemu życiu muzycznemu brak jest organizacji — tak zawodowej w poważnem znaczeniu tego słowa, jak i artystycznej, któraby przez należyłą propagandę zrzeszyła jaknajszersze warstwy społeczne, a przez odpowiednią pracę popularyzatorską urabiała opinię społeczną, wychowywała słuchaczy dla sali koncertowej i opery, a wreszcie wpływała na poziom krytyk prasowych, przeważnie tak niski.

Ale poza tą organizacją mas szerokich koniecznem jest zrzeszenie muzyków fachowców, którzy sami mają wiele grzechów na sumieniu, jeśli idzie o stronę artystyczną ich działalności.

W naszym życiu muzycznym jest tyle braków, że trzeba lat całych wytrwałej pracy, aby je wyrównać. Oto kilka przykładów:

Katedra muzykologii na uniwersytecie w Warszawie. Brak jej jest niezrozumiały wobec kolosalnej pracy, jaka stoi przed muzykologami polskimi; choćby w dziedzinie konserwatorskiej i inwentaryzacyjnej. Brak dostępnych źródeł powoduje niemożliwość syntetycznych opracowań, skąd powstają luki w podręcznikach historii muzyki polskiej.

Biblioteka muzyczna — któraby skupiła całość rękopisów kompozytorów polskich, a potem skompletowała jako tako z depozytów prywatnych całość po-

trzebną dla muzykologa. Zaczątek takiej biblioteki istnieje przy Departamencie Sztuki. Muzeum muzyki polskiej, — gdzie pamiątki pozostając w prywatnem posiadaniu byłyby należycie zabezpieczone i udostępnione.

Poważne pismo, poświęcone sprawom fachowym, krytycznie traktujące całość życia muzycznego w Polsce.

Zadania te możnaby mnożyć bez końca, a organizacja poważna, która potrafiłaby zrzeszyć wszystkich muzyków, od której nie usuwałyby się wybitniejsze jednostki, a która wynikami realnej pracy, zaczynającej od poszczególnych najbardziej palących potrzeb, potrafiłaby przełamać indyferentyzm sfer muzycznych — wszystkie te zadania zrealizować może. Czas wielki, aby muzycy polscy jęli się tej pracy.

WYCHOWANIE FIZYCZNE

(M. R.) KILKA SŁÓW O SPORCIE. Budowanie Polski wymaga wszechstronnego ujęcia, jesteśmy bowiem zaniedbani nie tylko państwowo i społecznie, ale i pod wieloma innymi względami, narzucającymi się mniej bezpośrednio, tym niemniej jednak wymagającymi bacznej uwagi. Nasze zaniedbanie sprawy wychowania fizycznego młodzieży specjalnej wymaga troski.

Życie uczy, że ani planowa gimnastyka szkolna, ani poprawa warunków higienicznych sprawy tej nie tylko nie wyczerpują, ale nawet nie posuwają jej odpowiednio naprzód. Chodzi tu o zmianę bardziej zasadniczą, o zmianę poglądu samej młodzieży, oraz rodziców na te sprawy. O zmianę trybu życia, rodzaju przyjemności i stworzenie nowych ambicji i pragnień w dziedzinie zręczności, zdrowia i siły. I oto na zachodzie, zjawia się sport, ze swoją ideą współzawodnictwa fizycznego, oraz walki z przyrodą, ambicją pierwotnego człowieka w kierunku przewyższania przeszkód i zabezpieczenia się przed napaścią. Każdy człowiek, aż do późnego wieku, musi umieć pływać, wiosłować, biegać wytrwale, skakać przez przeszkody, a nawet pięścią własną obronić swą osobę przed napaścią niespodziewaną. Każdy musi być wytrzymałym na zmiany temperatury i zahartować należycie swój organizm pod każdym względem. Takie ambicje i ideały szerzy sport i na tym polega jego znaczenie dla wychowania fizycznego narodu.

Obecnie odkrywają w sporcie i inne zalety wychowawcze, natury bardziej psychicznej, — ale już sama działalność sportu w dziedzinie wychowania fizycznego jest wystarczającą, ażeby czynniki społeczne i rządowe nie skąpiły mu trudu i funduszy.

Z radością więc należy powitać zaczynający się u nas ruch społeczeństwa w tej dziedzinie. Z ostatnich tygodni musimy tutaj zanotować pierwszy polski Kongres sportowy wraz z wystawą sportową, który się odbył w początkach kwietnia i miał właśnie za zadanie zainteresowanie szerokich kół oficjalnych naszym sportem, dalej Zjazd sportowej młodzieży akademickiej, który wyłonił z siebie t. zw. Centralę, mającą ogniskować i koordynować pracę nad szerzeniem sportu na uczelniach i w szkołach średnich. Również należy podnieść przywrócenie referatu sportowego w Ministerstwie Zdrowia, a co za tem idzie chęć planowej współpracy Państwa z powyższym ruchem. Wreszcie nie można tutaj pominąć organizującego się koła międzyklubowego posłów sejmowych pod przewodnictwem p. Wice - Marszałka Osieckiego, na którego poparcie nasze sfery

sportowe bardzo liczą, szczególnie przy zatwierdzaniu budżetu państwowego w Sejmie.

Oto są zdobycze w dziedzinie sportu w zaczynającym się sezonie roku 1923; być może, że wpłyną one na rozwój ruchu tak pożytecznego dla dobra powszechnego, jakim jest sport.

KSIĄŻKI

(A. Skwarczyński). **POWIEŚĆ J. CONRADA ¹⁾**

Odwykliśmy w dziedzinie zjawisk literackich od wydarzeń i rozważań poważnych. Zapada w niepamięć wielka twórczość Wyspiańskiego, mimo że tak jest niezmiernie aktualna właśnie dziś—u podwalin nowej budowy; umilkły, lub milkną wielkie talenty Przybyszewskich, Żeromskich, Kasprówiczków, ruch umysłowy teoretyczny i ideowy około twórczości „młodej Polski” dziwnie prędko pogrążył się w zamierzchłej przeszłości.

W czasie, gdy twórczość poetycka jest w najlepszym razie owem bawieniem się „foremką”—o jakim mówił Słowacki,—przyswojenie literaturze naszej powieści Conrada w znakomitem tłumaczeniu A. Zagórskiej jest zdarzeniem ważkiem. Rzecz znamienita jednak, że w dzisiejszej atmosferze literackiej boimy się niejako głębszego rozumienia rzeczy i ulegamy pokusie zaklasyfikowania od razu zjawisk owych w taki sposób, by wszystko wydało się „równo, pięknie i gładko”—i nic nie dawało powodu do niepokoju. Fantazję Almayera nazwano u nas natychmiast „powieścią morską” i „egzotyczną”, wyznaczając jej tem samem miejsce spokojne w księgozbiorach—no i w umysłach czytelników i określono z góry pożyteczną jej rolę pedagogiczną w związku z posiadaniem przez Polskę „dostępu do morza”.

Chcąc naprawdę sumiennie pomyśleć o powieści Conrada musimy więc przedewszystkiem na bok odsunąć te dziennikarskie etykiety, szkodliwe dla zrozumienia i odczucia dzieła,—mając pretensję do klasyfikowania i określania ostatecznego nie wyjaśniają one nic, co gorsza oddalają nas od istotnej treści dzieła, czyniąc je tylko przedmiotem czerzej obserwacji, lub żądzy niecodziennych wrażeń.

Powieść Conrada warta jest tego, by być przeżyta wewnętrznym przez czytelnika: poprzez żywe zetknięcie się z szerokim światem, z tymi właśnie morzami, zamorskimi ludami i rasami dopracował się bowiem jej twórca do istotnego dramatu ludzkiego, dramatu czynu człowieka żyjącego w owej szerokiej i różnorodnej rzeczywistości.

W takim właśnie „egzotycznym” szerokim i różnorodnym—a przeto wszystko obiecującym świecie pojawia się człowiek—europejczyk ze swemi zamierzeniami. Chodzi tu nie tyle nawet o zdobycze zamiary na złoto i dżamenty, któremi płoną i Lingard i Almayer, ile o naiwne chęci kształtowania losu ludzkiego, szczęścia ludzi kochanych, bliskich,—a jednak nieznanym.

Nie jest rzeczą łatwą osiągnąć czucie ze światem, usłyszeć jego odźwięk. Na tle splotu życia, stosunków ludzkich i wyjątkowości każdej z ludzkich dusz jednostkowe usiłowania są czemś ciasnym, naiwnym i przypadkowym,

¹⁾ Joseph Conrad: Fantazja Almayera, Warszawa, Tow. Wydawn. „Ignis”.

— pływają po powierzchni i są zabłąkane, jak łódź bez steru, podległa nieoczekiwanej przygodzie. Jeśli nie mają za sobą jakiegoś warunku, który zda się czarodziejskim, a w każdym razie niemożliwym do załatwienia, ani słowami, ani środkami pieniężnymi i organizacyjnymi, ani nawet energią osobistą, — usiłowania te zgubią się w nieprawdopodobnych nieporozumieniach, jak zgubiły się w nich przedsięwzięcia i zamierzenia starego Lingarda i tej ofiary jego nieporozumień ze światem, Almayera.

Stary Lingard wśród swych zdobywczych eskapad za bogactwem zdobył brankę, dziewczynę malajską. Powodowany kaprysem ojcowskiej do niej miłości układa jej los, rozporządza jej fizyczną osobą, aż do wychowania i małżeństwa włącznie, — ale o duchowej jej osobie nie pragnie i nie jest w stanie nic wiedzieć; siły z tej duszy płynące będą przeto później siłami burzy, rozwalającej wszystko, co z lingardowej budowy pozostanie w borneańskim świecie — czy to będą meble, czy losy córki — metyski. Almayer w miłości do córki Niny rozsnuje cały plan wyzyskania odkryć Lingarda, zdobycia bogactw i szczęścia, — ale w progu realizacji zamiarów rozbija nie tylko całą fantazję swoją, ale i umysł o logikę otaczającego świata, z którym nie chciał mieć nic wspólnego, i o nieznaną duszę córki.

„Niema na świecie dwóch istot rozumiejących się nawzajem; rozumieją tylko swoje słowa“ — mówi doń Nina w chwili, gdy wyzwolenie z labiryntów jego nierealnego świata daje jej jasne widzenie wielu prawd.

Oto los dwóch ludzi, którzy nie znaleźli współdzwieku z rzeczywistością żyjącą w koło nich, uwikłali się, samotni i opuszczeni wśród żyjącego bujnie otoczenia w sieć własnych czynów. Są i inni ludzie, inaczej ustosunkowani do życia borneańskiego. Więc przedewszystkiem Malajowie, — Lakamba i Babalaczi: są oni z tym światem przyrodniczo spojeni, są jakby organami wielkiego organizmu, dalek kupcy arabscy — jak pasożyty, które z organizmu tego świata spożyły się swymi ssawkami, — a wre. zcie Nina. Stoi ona na pograniczu świata Malajów i zawleczonych strzępów europejskich, świata białych. Uczynić musi wybór, który, gdy zostaje dokonany, staje się aktem świadomym, aktem wolnego, całego człowieka. Gdy wraca — porwana miłością do Deina i żądzą pełni życia — w świat malajski, rwie krępującą ją sieć różnorodnych stosunków, dokonując czynu heroicznego. Nie działa już jako nieświadoma część przyrody — jak jej matka, — ani nie płacze się w niezrozumiałych dla się, ignorowanych faktach i stosunkach — jak Almayer. Przez przeżycie sprzeczności dwóch światów, skrzyżowanych w samym jej pochodzeniu i rozstrzygnięcie między nimi, dojrzała do samodzielnego czynu wyzwolenia i zawładnięcia swoim losem.

A w koło nich, w koło tych postaci, tych indywiduów rozsnuta jest rzeczywistość, pełna bogatych faktów i stosunków. Żyje ona w przyrodzie, która morzem, wybrzeżem, rzeką, lądem, słońcem i burzą stwarza rytm całego tego organizmu, żyje w sprawach ludzkich, nawarstwiających się z roku na rok i z czynu na czyn, w obrzędowych zwyczajach, tradycyjnych wyrazach, zakorzenionych uczuciach, żądach, nienawiściach i obawach, znałogowanych intrygach i chytryściach. Niesie ona na swej fali losy i zamierzania ludzkie, warunkuje je i determinuje, włącza w swój nurt i kształtuje, lub wyrzuca na mielizny i rafy, — a jeśli się da opanować, to tylko wtedy, gdy świadomość i wola ludzka wrosnąć potrafi korzeniami w jego warstwy i prężnością swych w przyszłość sięgających konarów staje się niejako wyładowaniem — lecz jednocześnie i kierownikiem jej ewolucji. Bo nie istnieje oderwany człowiek, oderwany zamiar, oderwany od całości i od ciągłości fakt.

Obowiązuje historia.

Obowiązuje dorobek lat pokoleń i ras, ukształtowanych długim ciągiem rozwoju i wysiłków. Te pokłady spraw i lat, nawarstwienie wysiłków widać w każdej chwili, jak na przekroju pnia widać narosłe w ciągu wiosen coraz to szersze kręgi.

Każdą chwilę, każdy moment życia, każde wydarzenie autor, tak właśnie czuje i widzi: jako przekrój i skrót tej całej historii, która je stworzyła. I widzi konkretnie w całej rzeczywistości, w całej różnorodności i prawdzie. Dlatego to treść wewnętrzna dzieła nie jest zaznaczona żadnym uogólnieniem, lecz wyraża się w całej fabule jak i w całej kompozycji i stylu powieści. Nie jest więc przypadkowym, że istotna akcja powieści, obejmującej fabułą lat kilkadziesiąt, trwa nie wiele więcej niż jedną dobę: cała przeszłość wciąż jest obecna w duszach ludzkich i czynach. I nie jest przypadkowym, że już pierwsze strony powieści udekorowane są błyskawicami tej samej burzy, z której nurtów pod jej koniec wypłynie tajemniczy trup Malaja, który gra rolę w rozwikłaniu zasadniczego konfliktu; ludzie żyli myśleli działali przez tę noc, a przez tę samą noc szalała burza, wpływając na ich losy — i autor widział ją wraz z ludźmi swoimi, bo tworząc żył razem z nimi w konkretnych warunkach tej samej nocy.

Gdyby chodziło o określenie powieści Conrada jednym słowem, nie według fabuły, lecz w myśl wewnętrznej treści — nazwałbym ją powieścią historyczną. Nie jest jej fabuła zaczerpnięta z dawnych czasów, nie występują w niej postaci, które zostały zanotowane w kronikach, jako ważne czynniki dziejów ludzkości lub narodu. Ale właściwym przedmiotem, o którym ona nam opowiada, jest żyjąca i działająca w chwili obecnej przeszłość, skryształizowana w dorobku lat i wysiłków. Żyjąca przeszłość i porający się z nią, ulegający jej i walczący człowiek. Czyż nie taka właśnie jest wewnętrzna treść „Faraona” Prusa, — czyż nie o tem pisał Sieroszewski w „Ol-soni-kisań” lub „Psie zamorskim”, które w tym samym sensie są powieściami historycznymi? Czyż nie tak wreszcie rozumiał historję najgłębiej odczuwający ją z narodów — naród polski, który przez wiek przeszło pozbawiony teraźniejszości zanurzył myśl swoją w przeszłości, odkrył i zrozumiał jej energję działającą i w najgłębszych wyrazach swej myśli potrafił całość rzeczy przedstawić jako skryształizowany dorobek wysiłków, nawarstwiony w ciągu całej przeszłości i obowiązujący każdy przyszły czyn — nie do poddania się, lecz do wcielenia go w siebie i przezwyciężenia — jeśli ma być czynem twórczym i swobodnym¹⁾.

Że twórczość Conrada osiągnęła te dziedziny — nie jest to przypadkowym. W nieprawdopodobnych przygodach swojego życia, on, człowiek bez narodu, zbyt często podobnym musiał się stawać do Almayera. Ale to swoje podobieństwo był w stanie uświadomić sobie, bo owa „historyczność” kultury stała u jego kolebki duchowej. Wszystko to jedno z jakich pobudek „przedsięwziął on gwałtowne zerwanie” z narodem, w którym się urodził — i jak to jego zerwanie wydało mu się zupełnem. Stary Kraków, z którego wyruszył, ów „zdrzutany złam kasztelu” na którym „Bóg wpisał swoje pra-

¹⁾ Wystarczy przytoczyć tu dla wyjaśnienia „historyczną” kosmogonję Genezis z „Ducha” Słowackiego, poszukiwanie swobody ludzkiej wobec dziejów w „Stygmacie” i „Tyrtetu” Norwida i zmaganie się z martwymi dziejami dla zdobycia żywych źródeł dziejowych w „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego.

wa" mści się po królewsku na jego psychice, bo przepoił ją tem, co młodemu Józefowi Korzeniowskiemu wydało się „lepkiem powietrzem grobów” — a co przerobiwszy się na tkankę jego istoty duchowej pozwala mu lepiej rozumieć głębokość nurtu życia niż to jest danem normalnemu „marynarzowi angielskiemu”.

I dlatego pisma Josepha Conrada nie będą dla Polski zwykłym sezonowym importem „egzotycznym” w rodzaju pism Londona. Mimo że kultura, umysłowość i literatura nasza jest nawskroś „lądową” pisma te znaleźć u nas winny odpowiednie dla siebie i rozumiejące je środowisko, jakiego dla istotnej swej treści nie znajdą nigdzie na świecie.

JULJUSZ KADEN BANDROWSKI: GENERAL BARCZ. Powieść. Warszawa. Towarzystwo „Ignis” 1923.

(K. L.-Krz.) 1. Pierwszy rozdział „Generała Barcza” czytałem z niezmiernym zaciekawieniem, podkreślając sobie ołówkiem pewne szczegóły. Znam owo biuro na Florjańskiej, w którym Rasiński spędzał godziny pracy „pod perkalo-wą spódniczką abażuru”. Znam dyrektora „całej tej, cynicznej zwanej agencji Pies” — co więcej, wiem nawet dlaczego się ta agencja nazywała: „Pies”. Pyć z przestrzeloną w Legionach wątrobą (w dodatku spadł z wysokiego urwiska na brzeg rzeki i ciężko ranny leżał długo w objęciach... trupa żołnierza moskiewskiego) jest moim przyjacielem. Dowcipny ten człowiek (pożeracz powieści i literatury wojskowej) po przeczytaniu kilkunastu odcinków „Kurjera Polskiego” z „Barczem” wylał sobie na twarz flakonik robionej melancholji i w postawie (jak mu się zdawało) Hamleta wyrecytował: „Pyć albo nie być”. Przyjacielowi memu radzono żartem rozstrzygać pytanie: „Bić Kadena, czy nie bić” „Bój się Boga, Pyć, przecież nie darujesz Kadenowi tego cudzołóstwa! Prawda, cudzołożyłeś w „Barczu” dla idei, ale cudzołożyłeś. Pyć! Bić za to, czy nie bić?”. Przyjaciela mego „Barcz” bawił niezmiernie, ale pewnego dnia powiedział mi tak: „Myślałem sobie zawsze, że gdyby literatura polska straciła Germana zostałaby przecież Ligocki. Teraz jestem tak o literaturę spokojny, jak nigdy. Zostanie także i Kaden”. Mój przyjaciel, kadenowski „wzór” Pycia, jest, jak widać człowiekiem złośliwym. W zdaniu przytoczonym kryje się zemsta „Pycia” za Pycia, bo trzeba wiedzieć, że p. German „upowieścił”, czy też „zpowieścił” jakąś tam brukową plotkę warszawską. Jeżeli to kogo interesuje to wspomnę, że z żywego „Pycia” w prawdziwym, kadenowskim, jest w istocie rzeczy niewiele. Dalsze rozdziały „Barcza” dzięki pewnym szczegółom zdradzały „wzory” innych postaci powieści, po której przeczytaniu doszedłem do wniosku, że mógłbym wygłosić odczyt (i wydrukować go później) p. t. „Plotka o „Generale Barczu”. Tytuł ten naśladowy boyowską. „Plotkę o „Weselu” ściągnąłby mi z pewnością mnóstwo słuchaczy i dał wielu czytelników, a treść plotki dostarczałaby Warszawie sensacji na cały tydzień.

Ale cóż? Czy nam iść w ślady pana Jana Lipeckiego (pseudonim kobiecy), autorki pracowitego paszkwilu p. t. „Legenda Piłsudskiego”? Chcąc odśłonić „maskaradę” Piłsudskiego pani Jan Lipecki przytacza kilka wierszy z „Barcza.” „Przeleciało mu przez myśl, że jak Kościuszko, powinienby sobie obmyśleć jakiś strój osobisty. Może burkę sławucką?...” i t. d. Tak pisze Kaden o Dąbrowie. Mniejsza o to — komentuje pani Jan —, że Kaden mówi to wszystko, o ile zdaje się, o Roji, zresztą bardzo niegdyś protegowanym przez komendanta pułownika Czwartaków, ale stosuje się to doskonale i głównie do Piłsudskiego właśnie. „O ile zdaje się” o Roji, ale stosuje się do Piłsudskiego. „O ile zdaje się” „wzorem” Pycia był mój przyjaciel, ale na upartego sto-

sować się może to, co o nim Kaden mówi np. do wszystkich ludzi rannych w wątrobę, bo Kaden twierdzi, że Pyć chodził po świecie z nadwareżoną wątrobą. Istotnie jest wielu czytelników, a jeszcze więcej czytelniczek, takich typowych czytelniczek powieści, które węsząc plotkę mają z powodu „Barcza” (jeżeli go doczytały do końca) nielada galimatjas w głowie, bo im się wiele rzeczy zdaje, ale nie mogą się upewnić — więc nie wiedzą kto naprawdę nosił majtki Drwęskiej. Pani Jan Lipecki przypominała mi, jak żywo, panią Ciemięgową z „Świata i poety” Kraszewskiego. Jejmość ta, która na mężu swoim uprawiała „strategję nudy”, wymówiła swój dom biednemu poecie ponieważ w całej jego powieści, pisanej krwią serdeczną dostrzegła... serwis w kwiatki, taki sam serwis, jaki był ozdobą stołu państwa Ciemięgow.

W jednym ze starych roczników „Gazety Polskiej” istnieje dowód, że Kraszewski naprawdę miał raz nieprzyjemność z powodu mimowolnie opisanego przez siebie szczegółu gospodarstwa swoich znajomych.

Kiedy Orzeszkowa napisała „Pana Grabę” opowiadano sobie w Wilnie i Grodnie, a przedewszystkiem w całym powiecie kobryńskim, że autorka opisała swoje własne pożycie małżeńskie i co więcej, iż chciała to czytelnikowi podkreślić kładąc tytuł „Pan Graba”. „Pan Graba” to nie „Pan Graba”—komentowano—lecz Pan Grab (drzewo, grabina), a pan Orzeszko (mąż autorki)—też ma w nazwisku wiele wspólnego z orzechem, drzewem orzechowem. Przypomina się z powodu tego rozumowania pewna anegdota żydowska: „Tutaj tak miło wieje Azorek” — powiada pan Kohn. „Nie Azorek, lecz zefirek” prostuje ktoś. „Wszystko jedno. I to pies—i to pies”. Czasami i psu może być Zefirek. Czasami dla czytelnika „Pan Graba” jest grabem, pan Orzeszko — też drzewem, a sam plotkarz—czytelnik może być głupi, jak noga stołowa i nieczuły, jak ścięty pień. Teodor Jeske-Choiński drukował ongiś w „Kłosach” powieść p. t. „Straż przednia”, w której występował niejaki Socha. Ten niejaki Socha był wyraźnie Adamem Pługiem, a prócz niego mieściła się w powieści pewna redakcja warszawska. Łatwo sobie wyobrazić, jak się tą powieścią interesowali dziennikarze i literaci.

A „Mechesy” Marjana Gawalewicza? Kiedy się ta powieść ukazała pokazywano sobie jej bohaterów palcami na ulicy. Przykładów takich i podobnych mógłbym przytoczyć drugie tyle, ale tylko ze starszych powieści, gdyż niestety, z nowszemi nie jestem tak spoufalcony. Wiem z pewnością, że np. z „Dziejów grzechu” Żeromskiego możnaby wyciąć sylwetkę pewnego doktora (dziś profesora Uniwersytetu), który bynajmniej za to nie krzyw jest na autora „Wiatru od morza”. Mam też coś dla pani Jana Lipeckiego. Podejrzewam Sieroszewskiego o to, że czasami swojego Beniowskiego z „Beniowskiego” i z „Na oceanie” obdarza zewnątrzniemi rysami Piłsudskiego. Bardzo być może, że się mylę, ale tembardziej może pani Lipecki skorzystać z tego w następnym wydaniu swej „Legendy”.

Jeżeli więc chodzi o tworzywo powieści Kadena, o plotkę z „Generała Barcza”—to każdy sąd przysięgłych po wysłuchani obrońcy, a przedewszystkiem samego autora, wyda taki wyrok, jaki wydał ten specjalny sąd najwyższy rozpatrując sprawę Rasińskiego: niewinny!

Odebrać pisarzowi jego otoczenie, nie pozwalając mu swobodnie korzystać z życia i kształtować je na swój sposób — to znaczy wykląć mu oko, czyli zamordować powieściopisarza.

Jeżeli jednak tworzywem powieściopisarza jest jego otoczenie, z którego bierze wzory — to jasną jest rzeczą, że nie mogą się one stać w dobrej po-

wieści zbiorem fotografii, gdyż wtedy są to ludzie żywi, lecz nie ludzie, jak żywi (których płodzi talent); ci ludzie prawdziwi ciągną i do lasa i do sasa, a tacy „bohaterowie“ nie dadzą powieściopisarzowi dojść do słowa, co najwyżej pozwolą mu napisać paszkwil.

Żywy wzór w powieści (a cóż dopiero w powieści zaludnionej wzorami) musi być tragarem idei autora. Żywego człowieka urabia powieściopisarz na postać powieściową, narzucając jej swój wyraz artystyczny, wypływający z tej „jedności“ jaką ma być powieść. Wtedy wzór (częstokroć nasz znajomy) znieszczała się tak dalece, że mówimy: „Pyć“ i nie Pyć w jednej osobie.

Podobno istnieją pośród szlifierzy tacy majstrowie, że gdy im się da brylant już oszlifowany, to go tak „przeszlifują“, że rodzonego właściciela ogarniają wątpliwości, czy ten sam aby kamyk palec mu zdoła. Dobry Pan Bóg, przejrawszy nawskroś serce Prusa dał mu w nagrodę za nie żywy wzór na Madzię z „Emancypantek“. Trzeba głębiej wnikać w biografię Prusa, łączyć za nim do Nałęczowie (bo Prus po Nałęczowie i po ulicach lubelskich nie chodził — tylko łąził sobie), aby dociec, że Madzia to żywy brylant, ale jak przez Prusa oszlifowany! Jaka to dobra, szlachetna i dyskretna robota!

Kaden nie po raz pierwszy w „Barczu“ posługuje się żywymi wzorami. Robił to i dawniej. Umie szlifować dobrze, czego dowodzi Pyć lub w wielu wypadkach Krywult. Ale czasami partaczy. W „Łuku“ przez pasję rozgoryczonego legjonisty, a w „Generale Barczu“ z powodu braku skrupułów artystycznych i innych.

2. „Królestwo za pewną kanalję — powtarzała... (jenerał Barcz), udręczony ciężkiem położeniem na froncie“... „Bo tu dwu rzeczy trzeba: żeby była kanalja i żeby była pewna... Wtedy by się ją posłało i niech się w miarę da okraść“ A Krywult na to: „Taż Wilde, Generale, taż mój Wilde jedyny...“ Wilde jest kanalją. Wie o tem Barcz. Wie o tem Krywult, bo on z Wildem stanowią taką parę butów, albo Wilde to ostroga przy bucie Krywulta. Ten Wilde pozwoli się okraść, trochę sam ukradnie, ale sprowadzi z zagranicy amunicję i wszelaki sprzęt wojenny bez czego wojny prowadzić nie sposób. Barcz odpowiedzialny jest za koleje wojny, tworzącego się państwa. Wojsko i cały aparat państwowy nie są ujęte w „ramy“, które tworzy bezustannie Barcz. Te „ramy“ to cel dążeń tego człowieka o pracowitości wołu i doskonałej technice pracy. Dzięki kierowniczej myśli Barcza werzną się te ramy w życie drogą rozwoju, pracy, bez wstrząśnień, awantur, buntów. Zakasawszy rękawy do roboty Barcz ocenia szybko położenie z wysokości wozu władzy na którym siedzi. By użyć wytwornych wyrażań pisarza Rasińskiego: „...świnia że świętym za pan brat chadza...“, „łajno z konfiturami bywa jadane zgodnie“... „radość z odzyskanego śmietnika“. Tak oto jest w życiu, którego twardym organizatorem chce być jenerał Barcz. Z tą oceną położenia zgodzi się nawet Dąbrowa, który sam drogą obraną przez Barcza, nie poszedłby do swego celu.

I z tą oceną godzi się także Juljusz Kaden-Bandrowski. Barcz poczyną pracować. Chwyta się raz za razem niepięknych środków dla opanowywania brzydkiego położenia. Chce np. żeby mu kanalja (byłe „pewna“) pracowała choćby pospołu ze „świętym“. Np. Wilde z Rasińskim lub Jabłońskim. Rasińskiemu „Wystarczyło, że się nareszcie w chaos świata wplotła nić jego kraju...“ „Groch będziemy jedli, albo cały miesiąc cykorje, — odpowiadał żonie, skarżącej się na ubogi deputat. — Ale możesz „za to“ powiedzieć — *mój* rząd nie umie mnie żywić... I to jest więcej warte, niż żebyś-

my przy obcem korycie po kolana w truflach stali..." „Jabłoński dowodził, że teraz nikt własną drogą nie chadza, jest tylko jedna, własna, — droga tworzącego się państwa". Przygotowany jest na wysprzedawanie swego księgozbioru i ubrań przedwojennych ale „za to" zorganizuje, wojskowe sądownictwo polskie. Wilde zaś będzie „pewnym", ale z „tortu" państwowego musi otrzymać swój słodki kawałek. Zawsze będzie tam, gdzie „koniki, złoto, samochody", albo lepiej: „zaoszczędzi" sobie zawsze, „koniki, złoto, samochody". Kiedy Barcz rozpoczął swoją działalność, poczęło się obracać koło władzy i zaczęła się realizacja idei („ram"). Nie było to koło władzy dyktatorskiej. Jest władza Barcza, ale jest Krywulta i Dąbrowy — również. Dwa inne koła przy wozie pchanym przez Barcza i koła nie na jego obliczone drodze, takie piąte u barczowego wozu. Powieść Kadena skłania do pytania: Co jest odwrotną stroną medalu pięknej idei, gdy poczyną się stopniowo wcielać w życie? Czy aby nie człowiek czynu? Lub może polityk praktyczny? Jeżeli tak — trzebaby historyka i historyków, by nam opowiedzieli, jak doszło do Unji Litwy z Polską, jakimi środkami działał taki Zbigniew Oleśnicki, a innym razem Żółkiewski, Zygmunt III i panowie w czasie, gdy się rzecz wahała pomiędzy podbojem Moskwy, a Unją, gdy invidia była między Litwą a Polakami. Jak parł Kołłątaj do Konstytucji majowej, jakimi młotami w jakie kowadła walił w swojej kuźnicy i jakimi sposoby działał po upadku Konstytucji. Historycy wiele opowiedzieli. Wiemy o konfidentach, o cedułach szyfrowych, o kondotjerach, o formalnych spiskach, o paszkwilach, o klejnotach. Są akta i dokumenty. Ale choćby zachowały się wszystkie, nie dociecze się już nigdy rozmów mężów stanu prowadzonych w „cztery oczy" z bacznością uwagą nawet na ścianę, co mają uszy. A jeżeli Pyć jest wogóle pracownikiem nieśmiertelnym?

Kaden, dążąc do swego ważkiego słowa w powieści, puścił swego Barcza na bystre wody życiowe. Obdarzył go niewygodnemi, tak! niewygodnemi stosunkami rodzinnymi, związał go z Drwęską, która pracuje dla „ram" Barcza bez żadnych skrupułów tak jak pracowała w „Kimie" Kiplinga „Kwiat Rozkoszy" dla gentelmana z Delhi. Dojrzał bystro czynniki polityczne.

„Stateczna umowa z Wildem czyniła Barcza narazie zupełnym panem położenia.

Lewą opozycję mógł czemś tam obdzielić. „Elementy jeszcze skrajniejsze musiały milczeć, wykładnik ich bowiem wojskowy, Dąbrowa, stał na froncie i dowodził jednym ze skrzydeł wielkiego boju...

Krywult prowadził drugie... i wciągnął swój „prawy" obóz do wspólnej odpowiedzialności."

Są „surduty ludowe" i tużurki „narodowe", jest lewica i lewica skrajna, jest prawica i prawica skrajna.

„Zanadrze państwowego męża musi mieć cechy rojnego zapiecka — aż do chwili, kiedy ewentualna opozycja skrajnej prawicy(!!!) odmówi kredytów na dalsze zakupy materiału wojennego" (!!!)

Któż wyliczy wszystko, co musi Barcz dla swych „ram" — „uzgodnić", jakie stosunki kańciaste strugłem przewidującej myśli w ten, czy inny sposób „zlikwidować"?

Wreszcie Barcz chce z osi swego wozu, z którego chętnie zrzuciłby go Krywult, Wilde i Dąbrowa, stracić koła władzy „współwodzów". Chwyta się środka—wyblegu przez utworzenie jakiegoś Najwyższego Sądu i poświęca Rasińskiego, jego honor—honor oficera i pisarza.

Sądzić będą Krywult, Wilde i Dąbrowa, a że sądzić będą „świętego“ — więc z całej sprawy, na którą rzuca się zajadle (bo przez Rasińskiego dobierają się do Barcza) przy wrzasku prasy nieprzychylniej Barczowi i Rasińskiemu będą „nici“, czyli wszystko się skończy kompromitacją „współwodzów“, po której muszą być rugi, jak powiada Dąbrowa.

Jest to kulminacyjny punkt powieści i skała tarpejska, Barcza. „Rozgrywka“ Barcza i Juljusza Kadena-Bandrowskiego.

„To właśnie „Nowa Europa“, że niema rzeczy, dla której można poświęcić człowieka! To się po światowej wojnie wie!“ — te słowa Pietrzaka to pierwsza przygrywka do tego okropnego ciężaru idei „Barcza“, jaki postaci powieściowe mają dźwigać pod koniec powieści (jakkolwiek przykazanie: „kochaj bliźniego, jak siebie samego“ mieści w sobie i zdobycz „Nowej Europy“ po wojnie). W rozgrywce (rozdz. VIII) ma głos pisarz Rasiński:

„Graj człowiekiem w Państwo!

„To mało wam ścierwa, jeszcze sumieniem ludzkim chcecie Ojczyznę tapetować?...“

„Bo jeżeli ktokolwiek — trzy miesiące bodaj dla dobra Ojczyzny za złodzieja uchodzić ma???... To precz z taką Ojczyzną!... (A przedtem: taka ojczyzna jest śmietnikiem!) Człowiekiem, sumieniem — w kostki grać?“

Barcz ciągle siedzi na wozie. Krywult bawi się w dobroczynność, Wilde poszedł najwyraźniej w „duraki“, Dąbrowa szuka protekcji u Drwęskiej — „współwodzowie“ pod wozem. Ale Barcz został sam ze swojemi „ramami“. Pouciekali od niego *ludzie*: Jadzia i Baczowa, żona i matka, wierny Rasiński i do podziwu wierna mu Drwęska. Straszna pustka. Próżnia.

3. Powieść Kadena podzielona jest na 8 rozdziałów, obejmujących 516 stron treści. Nazwałem rozdział VIII rozgrywką Kadena, gdyż proces Rasińskiego ujawnił nam to, co zwykliśmy nazywać myślą przewodnią powieści, lub jej ideą. Jest to rozdział, w którym autor dochodzi do swojego słowa i to słowa głośnego. „Oto stało się, że wszystko, co (Rasiński) najtkliwszemi myślami budował od wczesnej młodości, spadło do przedmiotowych, obojętnych rozmiarów jakiejś nieznosnej praktyki...“

I zaraz po tem to drugie zdanie: „Że też Ojczyzna w dosyć państwowych formuł tak srodze wydziwiać może nad człowiekiem?...“

W tem właśnie tkwi rozdwojenie, które do powieści wprowadza ostatni jej rozdział. Czy wielka idea wsysa się w życie wlokąc z sobą „nieznosną praktykę“, uruchamiając koła władzy, obracające się w różnych kierunkach i działające brzydkimi nieraz środkami, czy też Ojczyzna (przez duże O) dlatego, że staje się państwem i działa, jak państwo łamie moralnie człowieka, ma go za nic, męczy i dusi?

Odnosi się wrażenie nieprzeparte, że dla Kadena jest to jedno i to samo — tak właśnie działa ten VIII rozdział. A to nie jest jedno i to samo. Bo w pierwszym wypadku, Kaden się porwał na temat niepospolity... Barcz, człowiek o żelaznym charakterze i świetny organizator, buduje państwo. Do jego „ram“ z paru stron wyciągają się kurczowo ręce. Barcz nie chce przewrotów. Tutaj na pierwszym planie są: Krywult, Wilde i Dąbrowa. Związanie „współwodzów“ z czynnikami politycznymi o czem napomyka nam powieść stale, ten Krywult którego do wojska powołuje „naród“, a odwołuje „dobroczynność“ ta „kanalja“ Wilde, potrzebna Barczowi, kompromisy Barcza — to są wszystko rzeczy zastanawiające, czasami nawet uderzające, charakterystyczne. Jak się „proste“ „twarde“, „jasne“, „stalowe“ ramy tworzy, czyli „Barcz“, jako odwrotna strona

idei—to na wielu, wielu stronicach, w całym szeregu scen (a raczej u Kadena „scenek“) i szczegółów rzecz dużego talentu, potracająca może, kto wie, o jakiś „zrąb teraźniejszości“.

W drugim wypadku, gdy powieść ma być protestem przeciw „ramom“, łamiącym człowieka, kiedy Barcz ma być symbolem niemal całej państwowości, stojącym... naprzeciw Jadzi, Barczowej, Rasińskiego, Drwęskiej, wypływającym przy tej koncepcji na pierwszy plan—rzecz cała staje się poprostu naiwną.

Bo małżeństwo Barczów—to niedobre małżeństwo. Kochają się, czy nie? Chcą żyć ze sobą, tak, czy nie? I te laleczki — kamień obrazy w małżeństwie. Przecież Jadzia oblewa się gorącą papką z powodu sceny małżeńskiej, urządzonej przez bezwzględного człowieka-męża. Barczowa z dziećmi i Erneścinem? „Miała na sobie czarny kabat, w rodzaju karawaniarskiego rajtroka, i suknię, sfałdowaną jak sutanna. Wyzierały z pod niej kapki trzewików. Na czubie głowy trwał przedziwny jakiś fiok, zięjący płocze cienie przez pierś, między mnogie krzyże Opieki, Ratunku i Miłosierdzia“. Nikt Kadenowi nie odmówi „chwytliwego“ oka i tego, że umiał dać swej powieści matkę,—ale tej chyba „ramy“ syna nie złamały. Jej sumieniem Barcz państwa nie „tapetował“.

Drwęska, opuszczająca Barcza, ukaranego w powieści odwróceniem się od niego ludzi za to, że człowiek jest dla niego niczem (takie wyznaczenie składa matce) nie może narzekać, tak, jak Rasiński, że „ojczyzna nad nią wydziewia“. Bardzo to ciekawa osobka. Jedna z oryginalniejszych kobiet w powieści polskiej. Pyć na małą i poziomą miarę w spódnicy. Pyć bezideowo i trochę awanturka, szelmeczka, którą życie podkuło nie na dwie nóżki, lecz na cztery nogi, a przytem niewiasta z poczuciem swej godności ludzkiej i kobiecej, która zawsze może się sponiewierać w świństwie, bo jej moralność tkwi w przekonaniu: „będzie tak jak mnie się będzie podobało!...“—nie może uchodzić, wtedy właśnie, gdy dostaje z arcykobiecego powodu mdłości i bólesci na placu tenisowym, za część. „zrębu teraźniejszości ojczystej“, za uogólnioną kobietę w powieści, któraby rościła pretensję do tego, że jest wogóle tem, co Niemiec (który sobie stworzył bogatą klasyfikację powieści) nazywa „Zeitroman“. Drwęska jest jeszcze jedną ofiarą mężczyzny w powieści, na szczęście nielamentującą i nie kończącą samobójstwem.

Zostaje jeden Rasiński, którym Barcz istotnie „tapetował“ ojczyznę. On jeden ma prawo uderzyć w surmy protestu. On też jeden uderzył głośno, wykrzykując i pytając, ale on też wprowadził Kadenowi w powieść rozdzielenie ideowe...

Czy ktoś ze mną będzie uważał „Generała Barcza“ za twórczy wysiłek dużego talentu, czy też uzna tę powieść za rzecz w pomyśle naiwną — tak, czy owak powieść ta nie jest paszkwilem, gdyż jej postaci niosą autorowi jego myśl przewodnią.

4. Cała sprawa Rasińskiego dzięki tym jego protestom i oskarżeniom staje się garbem powieści, rozgałęziającej się ideowo przy tym potworku, — ostatnim rozdziale. Bo sam Rasiński byłby wprost wessany przez pęd powietrza przy obrocie kół władzy. Poprostu. Nie przy Jadzi, Barczowej i brzemiennej Drwęskiej miejsce Rasińskiego, lecz tam: przy Barczu, Krywulcie, Wildem, Dąbrowie, których Kaden zmiata pod koniec powieści w szary kąt, wypychając Rasińskiego i Drwęską, ale w roli kochanki dygnitarza, na plan pierwszy.

Taneczna „zmiana miejsc“ postaci powieściowych, a więc i tego, co ze sobą niosą autorowi — to szeroka rysa artystyczna w „Generale Barczu“, wy-

plywająca z właściwej Kadenowi, jako powieściopisarzowi, porywczosci. Kaden należy do rzędu pisarzy niezmiernie wrażliwych na dzień dzisiejszy. Tkwi on zawsze w teraźniejszości. I w „Łuku”, i w „Generale Barczu” nielada wysiłkiem artystycznym chce wyważyć z niej swój „zrąb”. Kaden się porywa na „syntezy” swego czasu. Pomaga mu w tem świetny dar obserwacyjny i trafne branie się do rzeczy przez pomysły nawskroś realistyczne, nie pozbawione w wykonaniu nawet partyj naturalistycznych. Pisarz ten (którego już nie można uważać za młodego, a cóż dopiero początkującego) rzucający się na rzeczy i przejawy niemal stające się, nie posiada przy swoich pomysłach realistycznych cierpliwości artystycznej. Cierpliwość taką daje autorowi spokój myślowy, wypływający z ukończonego procesu przeżyć. Dzięki temu spokojowi panuje on stale nad rozwijającym się pomysłem (światem powieści — mówiąc po staroświecku), dzięki cierpliwości artystycznej może go wogóle planować i bez utraty własnej równowagi opanować i rozbudować.

Ta cierpliwość artystyczna jest właśnie tem dobrodziejstwem uczucia powieściopisarza, który pozwala mu podczas pracy twórczej żyć za pan brat ze świętym i diabłem w jednym rozdziale (przyczem żaden nie przestaje być sobą). W „Generale Barczu” powtórzyła się z historją z „Łukiem”. W tej powieści pani Marysia pokłóciła Kadena - legionistę, który z pasją zabrał się do tyłów polskich w czasie wojny europejskiej, z Kadenem - artystą który niezmógł w sobie rozgoryczonego legionisty. Romansem pani Marysi, jej przeżyciami a raczej perypetjami zasłonił sobie te tyły, które mogły się stać istotnie „zrębem teraźniejszości” (już minionej). I w tem jest główny grzech „Łuku”, lecz nie w tem, że pani Marysia była w pewnej chwili aż tak usposobiona, że mógł z tego skorzystać Smolarski. W „Generale Barczu” Kaden — powieściopisarz, spoglądając na parę lat życia polskiego, staje zawiedziony przed realizującą się ideją, przed czemś co było dla autora ongiś marzeniem, porywem, dążeniem... Jakoś niesamowicie mu to wszystko wygląda. „Ach — to tak!” I byłaby mojem zdaniem świetna powieść (co do języka mam zastrzeżenia... konserwatywne) granicząca z tym „zrębem teraźniejszości”, gdyby nasz powieściopisarz zmógł w sobie... Rasińskiego. Rasiński bowiem nie pozwolił Kadenowi na cierpliwość artystyczną w „Generale Barczu” tak, jak legionista w „Łuku”.

5. „Rasiński — redaktor, żołnierz, pisarz, muzyk...” „W suchej, płytkiej kratce konceptu spojonego gryfami inicjałów, gnuśna fala urzędowej pisaniny...” „Już po kilku dniach udało się wyrwać z niechętnego chaosu władz lokal dla biura. Wspaniały — na Teatralnym placu”. „Panie Generale, jeżeli redaktor wojskowego pisma w jednym z pierwszych numerów...” „Chyba z tyśiąc moich własnych artykułów i cała szkółka pismaków wojennych, i chyba kilkadziesiąt metrów filmu wojennego...” „Bo czemu by był nasz zwycięski bój, pozbawiony donośnego słowa, dosadnego wyrazu?... Ja właśnie byłem i jestem tem słowem donośnem...” „Ja, dziś tak szczuty, dawałem moje słowo między bitwą a bitwą, gdy inni spali, nie byłem mniej od nich zmordowany...” „Sławę moich najbliższych, nieznaną jeszcze prawie, kładłem na łono tej naszej polskiej nieśmiertelności...”

To Rasiński o sobie, lub Kaden o Rasińskim. I bynajmniej nie wszystko. „A co jeżeli — naśladuję niektóre zdania z „Generała Barcza” — Rasiński sam ma „wzór”, jeżeli...? Wtedy co?” Istotnie. Rasiński ma „wzór” i trzeba dodać, że już zupełnie mało szlifowany. Zdania powyższe — to zupełnie świadome wskazywanie autora na siebie. To nie „Pan Graba”

przy p. Orzeszce. Na podstawie choćby tych zdań przytoczonych możnaby napisać krótki artykuł biograficzny o Kadencie. On istotnie dawał swoje słowa w Legionach między bitwą a bitwą... Sławę swoich najbliższych (I Brygady) głosił.. Pośród pisarzy legionowych jest bezprzecnie pierwszy. I wiadomo, że był redaktorem pisma wojskowego. „Żołnierz Polski“ to Kadena zasługa. A któż z ludzi pióra nie wie o tem, że Kaden był szefem biura prasowego Naczelnego Dowództwa W. P.? Bez najmniejszego wahania odsłaniam „wzór“ Rasińskiego, bo do tego mnie autor upoważnia brakiem oszlifowania. Jest w tem dużo poświęcenia. Tego mi zamilczeć nie wolno. Jest w tem jakaś pokuta za te inne wzory, często gęsto, świetnie szlifowane. „Was używam, jako tragicznej swej idei — powiada Kaden — was: Barczów, Krywultów, i t. d., ale i siebie nie oszczędzam...“ Tak, to prawda.

Ale niech mi wolno będzie zająć stanowisko może zgola w recenzji literackiej niespodziewane.

Ze stanowiska ideowego tych wszystkich ludzi, których sławę z głębokim przekonaniem i pięknie kładł Kaden na łono nieśmiertelności polskiej, ze stanowiska Herwinów — Piątków, Lisów, — Kulów, Wyrwów, — Furgalskich, ze stanowiska wszystkich poległych i żywych Piłsudczyków, którzy tym dostojnym, piasek dziś gryzącym, nie dorównali czynem i wyrazem czynu, lecz, którzy, jak i oni, nosili i noszą świadomie i z dumą ów rzucający się w oczy krzyż równoramienny w żelaznym kole, opisany przez Kadena i wspominany w „Generała Barcza“ parokrotnie, Rasiński w powieści jest objawem niemoralnym. Jest on zaprzeczeniem jednego z paru kamieni węgielnych tego, co się składa na „morale“ owych Piłsudczyków (i co od dawien dawna stanowi także „morale“ wszystkich żołnierzy idei, co np. w „Panu Wołodyjowskim“ jest moralnością Sobieskiego i Wołodyjowskiego): „Najwyższą nagrodą za czyn dokonany jest moralne zadowolenie z jego spełnienia“... Wszystko! Wiele i nic!

Ten cały sąd nad Rasińskim — to już oczywiście „oszlifowanie“, to już doprowadzenie do rozgrywki dla protestu i oskarżeń, dla gwałtu, że budującą się ojczyznę „tapetuje się sumieniem ludzkim!“

Ale po co było kleić Rasińskiego wyraźnie z połowy Kadena?

Po co tyle prawdziwych i pięknych zasług Kadena, pisarza legionowego i kapitana Kadena poddawać pod sąd? Dlaczego ten Rasiński-Kaden z tą swoją piękną przeszłością, która mu da z pewnością rozdział w literaturze polskiej, biega „po całym sztabie“.

„— Kiedy portek nie było, — huczał w poczekalniach, — toście mnie brali... A teraz, kiedy portki są... Kiedyśmy nie wiedzieli, kto jesteśmy, tom ja miał mówić... A teraz kiedy...“

Ale wrzaski te nie mogły się przedostać za lakierowane drzwi, do wnętrza władzy“.

A gdyby się nawet dostały — tyleby ta władza zrozumiała, co każdy czytelnik z tych podartych, niedokończonych zdań: nic. A kiedy major Pyć mówi o tym sędzie, to: „Nie umiał Major wyraźnie określić... Może dlatego, że w ostatnich dniach przestawał już panować nad sobą...“ A to ci los z ludźmi tak mówiącymi!

Nie odmawiam autorowi „Generała Barcza“ prawa do dawania wyrazu własnym przeżyciom w powieści... Nie! Ale wolno mi wymagać w powieści o pomyśle realistycznym ukończonego procesu przeżyć, któryby autora zbroił w cierpliwość artystyczną, lecz nie zdobił wątpliwie w rozdygotanie pseudo-artystyczne.

Przeszłość Kadena, stopiona z Rasińskim w ostatnim rozdziale — to skutek niemoralnego stanowiska Juliusza Kadena Bandrowskiego, autora „Piłsudczyków” i twórcy tak często używanego i nadużywanego słowa „Piłsudczyk”, człowieka noszącego z pewnością z dumą odznakę „Za wierną służbę”. Zemściło się to na powieści rozdwojeniem idei i jej garbem artystycznym.

Jest to najsurowszy, zdaniem mojem, sąd, jaki dotąd był wydany o powieści Kadena. Nie dziwiłbym się, gdyby wywołał równie ostry protest autora, którego „Generał Barcz” jest książką zastanawiającą i o pomyśle wielkich rozmiarów. Nigdy nie wierzyłem tak w talent Kadena, jak po dwukrotnym przeczytaniu „Generała Barcza”—i nigdy tak nie białełem nad tem, co ten powieściopisarz ze swoim talentem, przedewszystkiem pisarskim, wyrabia.

KSIAŻKI I PISMA NADESŁANE: _____

- Joseph Conrad*: Fantazja Almayera, Tow. Wyd. „Ignis”.
Juljusz Kaden-Bandrowski: Generał Barcz, Tow. wyd. „Ignis”.
Jarosław Iwaszkiewicz: Hilary syn buchaltera, Tow. Wyd. „Ignis”.
Jerzy Sosnkowski: Dom filozofów, Tow. wyd. „Ignis”.
Jack London: Opowieści mórz południowych, Tow. wyd. „Ignis”.
 „ ” : Na szlaku, Tow. wyd. „Ignis”.
John Galsworthy: Powszechne braterstwo, Tow. wyd. „Ignis”.
Juljan Tuwim: Poezjy tom 4., Tow. wyd. „Ignis”.
 — Teatr polski, Tow. wyd. „Ignis”.
Dokumenty historyczne: Magna Charta libertatum, Tow. wyd. „Ignis”.
 „ ” Capitulares de Villis, Tow. wyd. „Ignis”.
 „ ” Wieś polska na prawie niemieckim, Tow. Wyd. „Ignis”.
 „Książki Ignisa”: *A. Mickiewicz*: Tom pierwszy poezjy 1822 r.
 „ ” *Cyprjan Kamil Norwid*: Autoportret.
 „ ” *A. Villiers de L'Isle-Adam*: Akedysseril.
 „ ” *R. L. Stevenson*: Klub samobójców.
 „ ” *Adolf Dygasiński*: Łabędzia woda.
 „ ” — Żywot łazika z Tormesu.
 „ ” *Godfryd Keller*: Romeo i Julja na wsi.
 „Kultura Nowej Polski”: *Tad. Mayzner*: Pieśń i chóry ludowe, Tow. Wyd. „Ignis”.
Michał Konopiński: Adam Asnyk jako polityk, Gebetner i Wolf.
Wacław Grabiański: Niedyskrecje księżycy, Gebetner i Wolf.
K. W. Strzelec: Rozmowy z Bogiem, Tow. wyd. „Kompas” w Łodzi.
 — Chrystus a wiedza przyrodnicza, Tow. wyd. „Kompas”.
 „Polska współczesna”, Kwartalnik, rok. I. zeszyt 3.
 „Nowe Drogi”: pismo tygodniowe Nr. 15 i 16.

SPROSTOWANIE. Złożone koleje, jakimi kopje zamieszczonego w przeszłym № wiersza K. W. Trojana, dotarły do redakcji, wywołały szereg odchyłeń od rękopisu, wobec czego zmuszeni jesteśmy przedrukować utwór w formie odpowiadającej intencjom autora:

Z cyklu: *Żołnierski stan*

Przewyciężone mu pod nogi ścielą się wrogi — korny łan;
Korniejszy od nich, dziś pogodnie patrzący wstecz żołnierski stan,
Co ci świat wszystek, gdyś, jak listek drzącemu ciału krzyknął: stój!
Gdy gwizdże, świszczce trzepoczący, na liściach pękający rój.
Co ci złe duchy, gdyś podsłuchy odbył w noc, kiedy na nic wzrok,
W pomroce wrażej, gdy cmentarzem, ziemią mogiły zda się mrok?
Jaki ból grozi, gdy przemrozi ci stopę strzemień w czas tych jazd,
Gdy mróz splótł palce tortur kołem gdyś czuł, — jak djadem z ćwier-
ków—czołem, skrzący nad czołem diadem gwiazd?
Co ci to? Gówno!—byle równo już biło serce; co ci śmierć!?

Mocniejszyś od niej, gdy pogodnie, mozolnie przez jej pchasz się perć.

Karol Wiktor Trojan.

O D W Y D A W N I C T W A.

Numer niniejszy wychodzi ze znacznem opóźnieniem. Zwłoka wynikła ze względów związanych z rozszerzeniem pisma i reorganizacją go na miesięcznik. Numer za maj wyjdzie z końcem miesiąca.

A D M I N I S T R A C J A

prosi o szybkie uiszczenie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.

Pismo wychodzi 1-go każdego miesiąca.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI, Szpitalna 12 m. 29, Telef. 175-34

Godziny urzędowe Administracji: od 10 — 3-ciej.

„ „ Redakcji: *poniedziałki, środy i piątki* od 5 — 6-tej

ZALICZKA NA PRENUMERATĘ *kwartalną* 15.000 mk.

W razie zmiany warunków wydawniczych administracja zwróci się o wyrównanie.

CENA NUMERU 6000 mk.

Wydawca: **Jan Dąbkowicz**

Redaktor odpow.: **Stanisław Guliński**

„Drukarnia Krajowa“ (W. Krawczyński i E. Egert), Warszawa, Żelazna 89.

„DROGA”

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWIE ŻYCIA POLSKIEGO



Chce być organem pracy umysłowej dla budowania

NOWEJ POLSKI:

rozważania zagadnień państwowych, narodowych i społecznych.

Zamieszcza **artykuły** z dziedziny ideologii narodowej, polityki, życia społecznego, zagadnień gospodarczych, oświatowo-kulturalnych, literackich, artystycznych—tak Polski jak i zagranicy.

Prowadzi stałe **przeglądy** życia politycznego i parlamentarnego, spraw zagranicznych, życia ekonomicznego, pracy organizacyj społecznych, teatru, muzyki, plastyki, wychowania fizycznego, ruchu wydawniczego i t. d.

Redagowanie poszczególnych działów, względnie

stałe współpracownictwo przyrzekli:

Stanisław Boguszewski	Kazimierz Kosiński	Wacław Sieroszewski
Piotr Borkowski	Stanisław Krawczyk	Bronisław Siwik
Wacław Fabierkiewicz	Karol L.-Krzewski	Adam Skwarczyński
J. Grabiec	Stanisława Kuszelewska	Stefan Śledziński
Stanisław Guliński	Antoni Langer	Lesław J. Słoboda
Marceli Handelsman	Wacław Lipiński	Michał Sokolnicki
Tadeusz Hołowko	Adam Lisiewicz	Stanisław Stempowski
Wilam Horzyca	Anna Minkowska	Andrzej Strug
Piotr Hulka-Laskowski	Anatol Minkowski	Tadeusz Świącicki
Juljan Huzarski	Miecz. Niedziałkowski	Kazimierz Świtalski
Wacław Januszewski	Bronisława Ostrowska	Stanisław Szeller
Janusz Jędrzejewicz	Romuald Petrykowski	Wacław Szmit
Marja Jędrzejewiczowa	Bronisław Piéracki	Stanisław Thugutt
Jul. Kaden-Bandrowski	Hanna Pohoska	Marjan Uzdowski
Kazimierz Kierzkowski	Jan Pohoski	Stanisław Vincenz
Emil Kipa	Juljan Poniatowski	Leon Wasilewski
Marjan Klott	Stanisław Posner	Aleksander Wielhorski
Adam Koc	Tadeusz Różycki	Edward Wittig
Tadeusz Kołodziejski	Stanisław Siedlecki	Wład. Zawistowski

20

707433
18.11.80

CZYTAJCIE!

PRENUMERUJCIE!

ROZPOWSZECHNIJCIE!

ORGAN STOWARZYSZENIA „ZWIĄZEK STRZELECKI“

„STRZELEC”

**CZASOPISMO POŚWIĘCONE IDEI WYCHOWANIA
I WYSZKOLENIA ŻOŁNIERZA-OBYWATEŁA.**

Prenumerata kwartalna mk. 150, numer pojedynczy mk. 25

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 27 m. 3.